

GDAŃSK PAMIĘTA

55 ROCZNICA GRUDNIA '70

45 ROCZNICA ODSŁONIĘCIA POMNIKA POLEGŁYCH STOCZNIOWCÓW 1970

GRUDZIEŃ 2025 | COROCZNA GAZETA ROCZNICOWA 6/2025 | WYDAWCA: EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

1970

GRUDZIEŃ

KREW I ŁZY

To były najczarniejsze dni w powojennej historii Wybrzeża. Komunistyczna władza wysłała uzbrojone wojsko i milicję przeciw robotnikom, którzy wyszli na ulice protestować po zapowiedzi podwyżek cen żywności. W Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie w grudniu 1970 roku zginęło 45 osób, a 1165 odniosło rany.

Zapis wspomnień tamtych dni rozdziera serce. Serie strzałów z karabinów maszynowych ścinały z nóg. Krew na chodnikach. Izby przyjęć niczym w czasie wojny. Bliscy bezskutecznie poszukujący zaginionych. Fałszywe akty zgonów. Pogrzeby pod osłoną nocy. Omdlewające matki...

Władza obiecała uczcić pamięć ofiar, ale nie dotrzymała słowa. Już wiosną 1971 roku Służba Bezpieczeństwa alarmowała, że z muru przylegającego do Bramy nr 2 „stoczniovcy uczynili pewnego rodzaju sanktuarium”, gdzie gromadzą się całymi rodzinami, modlą się, składają kwiaty i palą znicze. Gdański monument odsłonięto 16 grudnia 1980 roku, dzień później gdyński pomnik Ofiar Grudnia 1970 – przy dźwięku syren, biciu dzwonów, szepcie modlitw i szlochu.

Pomnik Poległych Stoczniovców 1970 w Gdańsku był pierwszym w Europie monumentem upamiętniającym ofiary reżimu komunistycznego, a jednocześnie pierwszym, o którego wzniesieniu zdecydowało samoorganizujące się społeczeństwo. W akcie erekcyjnym napisano: „Pomordowanym – na znak wiecznej pamięci. Rządzącym – na znak przestrogi, że żaden konflikt społeczny nie może być rozwiązany siłą. Współobywatelom – na znak nadziei, iż zło może zostać przewycięzone”.

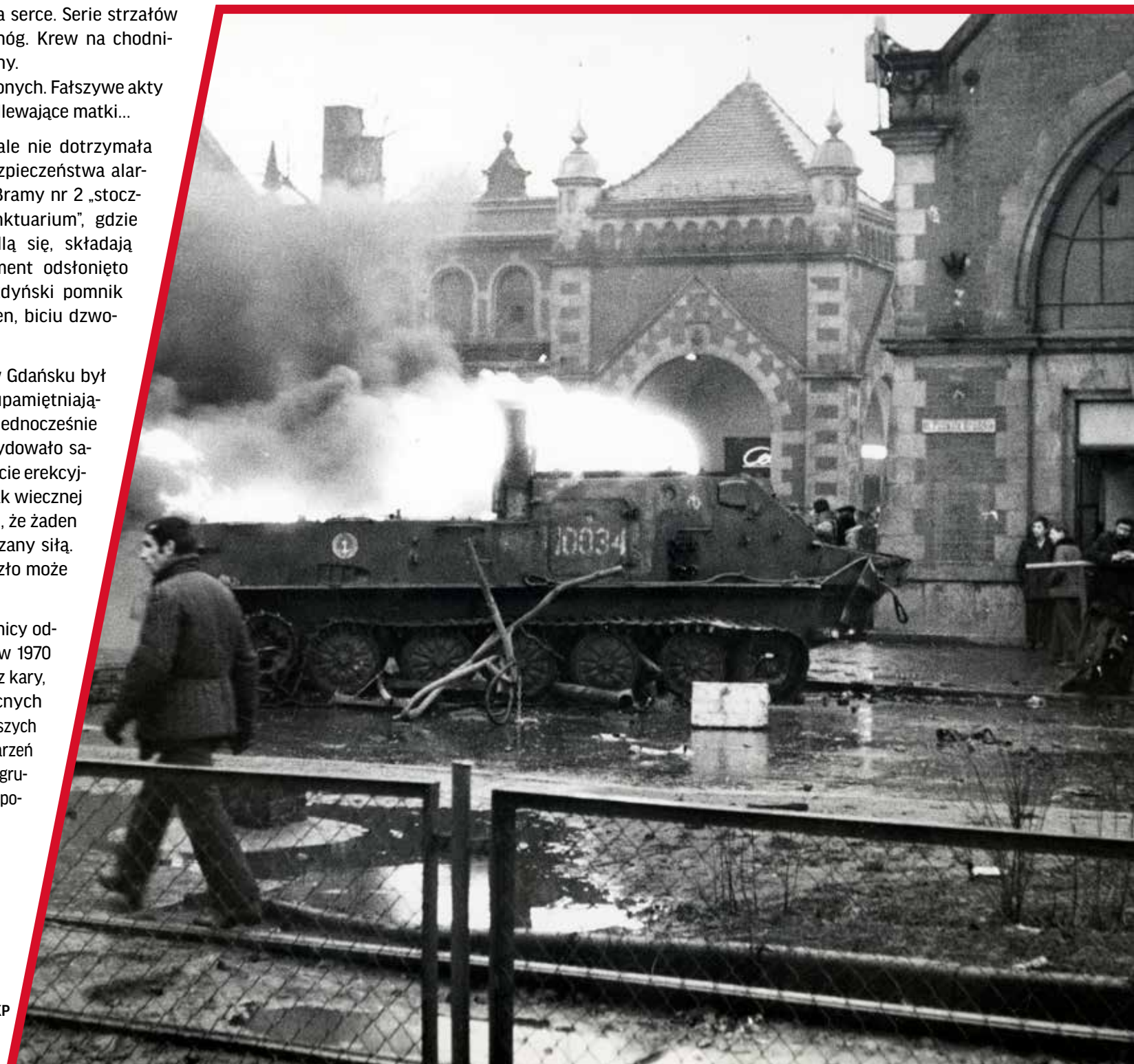
Z okazji 55 rocznicy Grudnia '70 i 45 rocznicy odsłonięcia pomnika Poległych Stoczniovców 1970 przygotowaliśmy opowieści o... Zbrodni bez kary, mimo niepodważalnych dowodów. Nocnych pochówkach i cierpieniu rodzin ofiar. Pierwszych sekretarzach partii i generałach. Echach wydarzeń na Wybrzeżu w Polsce i poza granicami. O pogrudniowej dogrywce i pomniku wzniesionym z potrzeby wielu osób. Zachęcamy do lektury.

GDAŃSK PAMIĘTA

/ 8-18/12/2025

/ program: ecs.gda.pl

Opancerzony transporter w ogniu po ataku na demonstrantów przed Dworcem Głównym PKP w Gdańsku, w trakcie którego życie straciły trzy osoby, 15 grudnia 1970
Fot. Jan Juchniewicz / Zbiory ECS



Z PROGRAMU WYDARZEŃ JUBILEUSZOWYCH ZAPRASZAMY!

SOLIDARITY

/ polska premiera filmu i rozmowa

10/12/2025 środa **18.00**

Dokument (reż. David Bernet) zgłębia zjawisko solidarności i odkrywa uniwersalną moc praw człowieka. Pięciu bohaterów i trzy kryzysy – na Białorusi, w Ukrainie i w Strefie Gazy/Izraelu – ukazują zarówno jasne, jak i ciemne strony solidarności.

/ wstęp: bezpłatny bilet

DWA GRUDNIE

/ spacery subiektywne po wystawie stałej

13/12/2025 sobota **11.00, 12.30, 14.00**

Danuta Kuroń, Andrzej Czuma i Mieszko Zieliński

14/12/2025 niedziela **11.00, 12.30, 14.00**

Jacek Taylor, Ewa Kulik-Bielińska i Edward Nowak

Zapraszamy na spacer subiektywne po wystawie stałej ECS.

Subiektywne, bo każdy przewodnik dzieli się osobistymi wspomnieniami, co sprawia, że nie ma dwóch takich samych spacerów.

/ wstęp: biletowany



Fot. Michał Mistat / Archiwum ECS

ŚLADAMI GRUDNIA '70

/ spacer przewodnicki

14/12/2025 niedziela **12.00**

Pokażemy miejsca, obiekty i wspomnimy ludzi, którzy marzyli o lepszej Polsce i wierzyli, że to jest możliwe.

Przewodnikiem będzie Stanisław Sikora, przewodnik miejski i terenowy, pilot wycieczek, instruktor przewodnictwa i krajoznawstwa Polski.

/ wstęp: bezpłatny bilet



Fot. Piotr Pędziszewski / Teatr Miniatura

BIBUŁA W TAPCZANIE

/ spektakl teatralny dla rodzin

14/12/2025 niedziela **12.00**

Będzie o generale zamiast Teleranka, pustych półkach w sklepie i fałszowanych wyborach. W podróż do świata, który dla dzisiejszych dzieci jest już niemal prehistorią, weźmiemy Was z przymrużeniem oka i humorem.

Zapraszamy dzieci (8+) i bliskich im dorosłych. Spektakl na motywach książki Michała Rusinka – „Bibuła w tapczanie”.

O solidarności dla dzieci” (Agora, 2025), przygotował

Miejski Teatr Miniatura w Gdańsku.

/ wstęp: wolny

GDAŃSK PAMIĘTA

/ zapalenie zniczy w miejscach śmierci ofiar Grudnia '70

15/12/2025 poniedziałek **12.30**

W siedmiu lokalizacjach płyty wmurowane w bruk oznaczają miejsca śmierci ośmiu gdańskich ofiar rewolty grudniowej 1970. Lokalizacje publikujemy na ostatniej stronie gazety.

Upamiętnienie ofiar rozpocznie się od wizyty prezydent Aleksandry Dulciewicz w dwóch miejscach:

/ róg ulic Nowe Ogrody i 3 Maja, obok Urzędu Miejskiego, gdzie zginął: Józef Widerlik, lat 24, stolarz okrętowy z Wydziału W5 Stoczni Gdańskiej im. Lenina

/ ul. Hucisko, wiadukt nad torami kolejowymi, po stronie sądu, gdzie zginął: Bogdan Sypka, lat 20, pochodzący z Gdańska student Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie.

OBŁAWA WEDŁUG JACKA KACZMARSKIEGO

/ spektakl muzyczny

14/12/2025 niedziela **18.00**

Pieśni Jacka Kaczmarskiego zabrzmiały we współczesnych aranżacjach, wystąpi kilkunastu studentów Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej w Gdyni.

/ wstęp: bezpłatny bilet



Fot. Jurek Bartkowski

NIE TYLKO PRZEMYSŁ HISTORIE (NIE)OPOWIEDZIANE

/ spektakl teatralny

18/12/2025 czwartek **19.00**

To jedna z wielu historii (nie)opowiedzianych, która nie zasługuje na zapomnienie.

Spektakl przypomina mało utrwalony w pamięci zbiorowej sojusz studentów z robotnikami strajkującymi w stanie wojennym w Stoczni Gdańskiej.

Jaką cenę warto ponieść w obronie wartości?

/ wstęp: wolny

TO NIE NA DARMO

/ koncert

16/12/2025 wtorek **19.00**

Koncert rozpocznie „Lacrimosa” Krzysztofa Pendereckiego na chór i orkiestrę – utwór, który kompozytor napisał specjalnie na uroczystość odsłonięcia pomnika Poległych Stoczników 1970.

Potem zabrzmiały osiem utworów wykonanych symfonicznie, z udziałem wybitnych polskich artystów młodego pokolenia.

/ wstęp: bezpłatny bilet

więcej | ecs.gda.pl

Najpierw komuniści skutecznie zacierali ślady zbrodni. Potem śledztwo bez planu prowadziła prokuratura wojskowa, która zastępną bezwzględny ściganiem działaczy Solidarności w czasie stanu wojennego, a nie umiała odnaleźć świadków i ustalić, kto strzelał. Gdy sprawą zajął się sąd cywilny, ważniejsze było samopoczucie generałów niż ofiar, oskarżonych nie aresztowano, rozprawy odwoływano, a świadków dziesiątkowała amnezja.



Generał Wojciech Jaruzelski na ławie oskarżonych w procesie o sprawstwo kierownicze podczas masakry grudniowej 1970, Sąd Okręgowy w Gdańsku, 28 marca 1996
Fot. Stefan Kraszewski / Zbiory ECS

ZBRODNIA BEZ KARY

„To jest niesamowite” – zauważył w styczniu 1971 roku Stefan Kisielewski, kompozytor i pisarz – „w epoce radia i telewizji niczego nie można się dowiedzieć o wydarzeniach, którymi żyje cała Polska!” Miał rację, bo walka o pamięć rewolty grudniowej 1970 rozpoczęła się niemal zaraz po ucichnięciu wystrzałów.

Strach przed umarłymi

Władze nie pozwoliły, aby Polacy poznali prawdziwy przebieg grudniowej tragedii. Na polecenie Edwarda Gierka, I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, bezpieka zacierала ślady masakry, a reżimowe media przystąpiły do zmasowanej kampanii propagandowej. Pierwszą listę ofiar opublikowano dopiero 18 stycznia 1971 roku. „Głos Wybrzeża” nie podał jednak wieku wielu ofiar, gdyż kompromitowało to milicję i wojsko – zamordowanymi byli w większości młodzi chłopcy. Nowa ekipa Edwarda Gierka obiecywała naprawę „błędów” poprzedników, ale działała jak wszyscy dotychczasowi sekretarze partii. Służba Bezpieczeństwa na wielką skalę rozpoczęła akcję systematycznego śledzenia i likwidacji wszelkich przejawów upamiętniania ofiar Grudnia '70. Wyzwaniem dla władz były pochówki

pomordowanych, ich organizacja i zabezpieczenie. Zenon Kliszko, najbliższy współpracownik Władysława Gomułki, kazał grzebać ofiary „skrycie na cmentarzach, pod płotami, wyrównując ziemię”. Bano się nawet umarłych. Pogrudniowa rzeczywistość dosięgała również najwyższych władz, dlatego zdecydowano się powołać komisję, która od samego początku nie miała niczego wyjaśniać, a jedynie uchronić od podejrzeń towarzyszy tworzących z Gierkiem pogrudniowe kierownictwo.

Pionierskie badania

W czasie gierkowskiej dekady zdecydowanie tępieno wszelkie oznaki publicznego oddawania czci ofiarom Grudnia '70. Pamięć jednak przetrwała i była jednym z filarów powstania związku zawodowego Solidarność. W czasie legalnego istnienia NSZZ „Solidarność” powstały dwa pomniki przypominające o grudniowej tragedii – w Gdańsku i Gdyni. Zaczęto prowadzić badania historyczne na ten temat, a ich pionierką była Wiesława Kwiatkowska, dziennikarka, pracowniczka Sekcji Historycznej Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność”. Rozpoczęła zbieranie dokumentacji oraz spisywanie relacji uczestników wydarzeń z 1970. Na temat Grudnia '70



Na czarnych tablicach nazwiska ofiar masakry grudniowej 1970 – milcząca demonstracja przed wejściem do Sądu Okręgowego w Gdańsku w dniu rozprawy gen. Wojciecha Jaruzelskiego, 28 marca 1996
Fot. Stefan Kraszewski / Zbiory ECS

powstawać zaczęły pierwsze książki oraz filmy dokumentalne. Proces zatrzymała 13 grudnia 1981 junta generała Jaruzelskiego. W PRL nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności za śmierć 43 manifestantów. Po upadku komunizmu oczekiwano przede wszystkim prawdy i zadośćuczynienia żyjącym wtedy jeszcze rodzinom ofiar, pobitych, represjonowanych. Śledztwo wszczęła w październiku 1990 roku Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni. Ta sama, która zastępną bezwzględny ściganiem działaczy solidarnościowych w czasie stanu wojennego. Dodatkowo kierujący śledztwem prokurator Jan Siemianowski nie miał wcześniej żadnych związków z Wybrzeżem, więc musiał od początku zaznajomić się ze skomplikowaną materią. Część z jego pracowników, do niedawna podwładnych gen. Jaruzelskiego, nie chciało uczestniczyć w prowadzonym przez niego śledztwie.

Nie pamiętam

Wiesława Kwiatkowska, która na prośbę Prokuratury Marynarki Wojennej pełniła przez jakiś czas rolę nieformalnej rzeczniczki społecznej, stwierdzała: „Zarzucam Prokuraturze Marynarki Wojennej, że śledztwo w sprawie grudnia 1970 roku prowadzi w sposób pozorowany. Że ocenzurowane kserokopie stanowią przygniatającą większość dokumentów dowodowych. Że zamierza zamknąć śledztwo w oparciu o materiały, których wiarygodność podważyć może nawet niedouczonego prawnika”. Śledztwo prowadzono bez wyraźnego planu, nie można było dotrzeć do niektórych świadków, ponieważ Ministerstwo Obrony Narodowej, kierowane przez gen. Floriana Siwickiego, nie podawało aktualnych adresów zamieszkania, a świadkowie mataczyli. Nie mówili już nawet „nie pamiętam”, tylko sugerowali, że nie wiedzieli, że na Wybrzeżu zginęli ludzie. W kwietniu 1993 roku prokurator Siemianowski postawił zarzuty gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu, gen. Stanisławowi Kruczkowi, gen. Mieczysławowi Urbańskiemu, płk. Kazimierzowi Świtale, mjr. Wiesławowi Gopowi i Stanisławowi Kociołkowi. Ostatecznie nie udało się ustalić, kto konkretnie strzelał do manifestantów. Śledztwo umorzono także wobec milicjantów i żołnierzy, którzy w dniach 15–18 grudnia 1970 roku w Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie strzelali do manifestantów. Bezpośredni sprawcy morderstw stali się bezkarni.

To nie były rykoszety

Sprawa trafiła do prokuratury w Gdańsku. Nowo wyznaczeni prokuratorzy ponownie musieli zapoznać się z obfitym materiałem, a dodatkowo rządy w Polsce zaczęły sprawować postkomuniści, co nie przyspieszyło procesu. Istniało ryzyko przedawnienia, ale w tym momencie zdarzył się cud – w ręce prokuratora trafiły akta śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową w Gdyni w 1971 roku, które miały zostać zniszczone. W dokumentach znalazły się protokoły z sekcji zwłok i pociski wyjęte z ciał zamordowanych robotników. Dowody te obalały podstawową tezę

Prokuratury Marynarki Wojennej, że nikt nie celował w tłum, a zabici zostali postrzeleni w wyniku rykoszetów. Nowe ustalenia pozwoliły kontynuować śledztwo. Przestuchano ok. 4,5 tys. świadków, a w kwietniu 1995 roku prokurator Bogdan Szegda skierował do Sądu Okręgowego w Gdańsku akt oskarżenia wobec dwunastu byłych członków władz państwowych i oficerów, wśród których znalazł się ten najważniejszy, gen. Jaruzelski. Niestety Sąd Wojewódzki w Gdańsku blokował proces. Podniesiono kwestię niekompletności akt, a odnośnie najważniejszego ze świadków zastanawiano się, czy powinien go sądzić sąd wojskowy, a może Trybunał Stanu?

Winna dziennikarka

Oskarżonych nie aresztowano, co okazało się podstawowym błędem. Zaczęli bowiem opóźniać proces, a w ich zachowaniu widoczna była buta i brak skruchy. Jaruzelski obwiniał swoich byłych zwierzchników lub podwładnych, w szczególności tych nieżyjących i niemogących się już bronić, m.in. Władysława Gomułkę. Z kolei jego podwładni zeznawali, że to on dowodził akcją w grudniu 1970. Mimo nagłośnienia sprawy proces właściwie nie ruszył z miejsca, a wiosną 1996 roku Sąd Okręgowy umorzył postępowanie wobec Wojciecha Jaruzelskiego i Kazimierza Światy, argumentując, że może ich sądzić tylko Trybunał Stanu. Stanowczo zareagowała wtedy wspomniana już Wiesława Kwiatkowska. Nagłośniła skandaliczne zachowanie sędziego Włodzimierza Brazewicza, który udał się po instrukcje w sprawie procesu do Warszawy. Uwagę skupiono nie na podsądnych, a na niepokornej dziennikarce. Skazano ją na karę pieniężną i trzy miesiące pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Sędzia Brazewicz wystąpił wówczas w charakterze oskarżyciela posiłkowego i domagał się pozbawienia tej zasłużonej dziennikarki prawa wykonywania zawodu. Należy dodać, że Wiesława Kwiatkowska została już drugi raz skazana za badanie historii grudnia 1970. W okresie stanu wojennego Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni wymierzył jej bowiem karę pięciu lat więzienia za zbieranie informacji na temat grudniowej rewolty. Środowiska walczące o prawdę zostały brutalnie sprowadzone na ziemię – w wolnej Polsce nad grudniową tragedią wciąż ciążyła mafijna zмова milczenia byłych partyjnych dygnitarzy.

Dobro generałów

Oskarżeni byli już wtedy ludźmi starszymi, dlatego coraz częściej zaścinali się niepamięcią i złym stanem zdrowia. Po trzech latach perturbacji proces przeniesiono do Warszawy. Kierowano się dobrem generałów – trzech z nich, w tym gen. Jaruzelski, podupało na zdrowiu. Nie brano pod uwagę faktu, że po przeniesieniu procesu do stolicy większość mieszkających na Wybrzeżu świadków będzie zmuszonych jeździć do Warszawy. Nikt nie pomyślał, że to osoby starsze, chorujące i niemobilne, często bez środków finansowych. Państwo po raz kolejny stanęło po stronie oprawców.

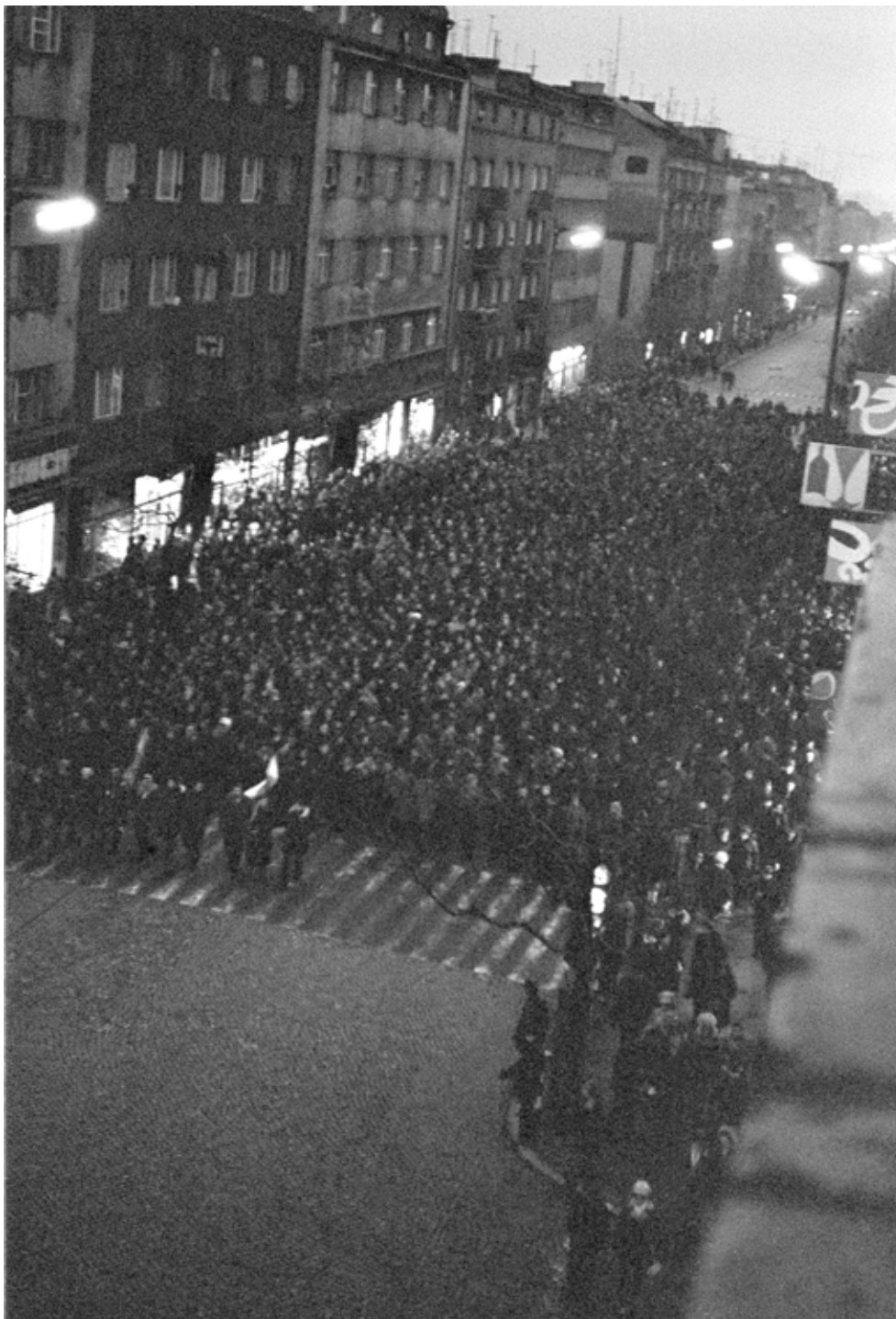
Pierwsza rozprawa w Warszawie odbyła się dopiero w październiku 2001 roku. Była to dziesiąta próba rozpoczęcia przewodu. Proces opóźniano na wszelkie sposoby. Występowano o umorzenie sprawy, a kiedy wszystkie wnioski oskarżonych zostały odrzucone, zmienili się obrońcy gen. Jaruzelskiego. Nowi musieli zapoznać się z setkami tomów dokumentacji. Do tego oskarżeni nagminnie nie stawiali się w sądzie. Pomiedzy listopadem 1999 a listopadem 2005 roku odbyło się 130 rozpraw, a 61 zostało odwołanych. Z kolei w pierwszym półroczu 2006 roku na planowane 53 rozprawy, odwołano aż 31. Dochodziło do skandalicznych przypadków.

W Moskwie najzdrowiej

Narzekający na problemy zdrowotne gen. Jaruzelski nie przyjechał na rozprawę wyznaczoną na 8 maja 2005. Pojawił się za to w Moskwie na uroczystościach z okazji 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Kompromitowało się także bezpośrednio państwo polskie. Na 15 grudnia 2008 roku zaplanowano jedną z rozpraw, ale ją odwołano, nie informując przyjeżdżających z całej Polski świadków. Nikt nie przejmował się ich losem. Za to bardzo często sąd był bezwzględny, a wręcz arogancki wobec świadków. Na uwagę Adama Gotnera, do którego 17 grudnia 1970 roku strzelano, a sześć kul utkwiiło w jego ciele, że sędzia nie zna topografii terenu, otrzymał ripostę: „Niech świadek się liczy ze słowami, świadek stoi przed sądem!”. W 2011 roku proces rozpoczęto od nowa, bo jeden z ławników zmarł, a zapasowych, mimo próśb prokuratora Szegdy, nie wyznaczono. Nie zezwolono również na nagrywanie procesu, co wtedy było już praktykowane. Na ławie oskarżonych zasiadały już tylko trzy z dwunastu oskarżonych osób, bez gen. Jaruzelskiego, który został wyłączony z procesu z powodów zdrowotnych. W 2013 roku rozprawa dobiegała końca. Prokurator Bogdan Szegda domagał się dla oskarżonych: Stanisława Kociołka (wiceprezes Rady Ministrów), Bolesława Fałdasza (pułkownik, zastępca ds. politycznych dowódcy 32. Pułku Zmechanizowanego) i Mirosława Wekiery (podpułkownik, dowódca 3. Batalionu 55. Pułku Zmechanizowanego) kary ośmiu lat więzienia i dziesięciu lat pozbawienia praw obywatelskich. Adwokaci wniesli o uniewinnienie swoich klientów. Wyrok zapadł 19 kwietnia 2013 roku.



Adam Gotner, jego bezwładne ciało, wsparte na ramionach robotników znoszących rannego spod ostrzału, dało pierwowzór siódemce z gdyńskiego pomnika Ofiar Grudnia 1970
Fot. Leif Engberg / Archiwum rodziny Adama Gotnera / Zbiory ECS



Rewolta grudniowa na ulicach Gdyni, pochód idący ul. Świętojańską, 17 grudnia 1970
Fot. autor nieznan / Zbiory ECS

Państwo umyło ręce

Kociołka uniewinniono, a dwóch dowódców wojskowych, biorących bezpośredni udział w pacyfikacji robotników 16 grudnia 1970 roku pod Bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina i 17 grudnia 1970 przy przystanku SKM Gdynia Stocznia – skazano na dwa lata więzienia w zawieszeniu na cztery lata. Ukarano ich jednak nie za współudział w zabójstwie, lecz za udział w pobiciu.

Kompromitujący wyrok zaskoczył świadków, przyjęto go z niedowierzaniem i rozgoryczeniem. Prokuratura zgłosiła apelację, ale w czerwcu 2014 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie podtrzymał wyrok Sądu Okręgowego. Dopiero w kwietniu 2015 roku Sąd Najwyższy uwzględnił kasację wniesioną przez prokuratora Szegdę i uchylił wcześniejsze wyroki, co otworzyło możliwość dalszego sądenia Stanisława Kociołka. W październiku 2015 roku Kociołek zmarł. Proces ciągnął się przez ćwierć wieku, a państwo zdało się na biologię eliminującą oskarżonych. Umyło ręce jak biblijny Piłat. Wiesława Kwiatkowska nie dożyła końca procesu. Zmarła w 2006 roku. Krótko przed śmiercią mówiła: „Czy rzecz jest tak trudna, że wymaga aż tyle czasu? Proces przeciw głównym zbrodniarzom hitlerowskim w Norymberdze trwał rok, a był o wiele trudniejszy”. Rewolta grudniowa 1970, podczas której życie straciło 43 manifestantów, nadal pozostaje zbrodnią bez kary.

dr Przemysław Ruchlewski

/ historyk,
zastępca dyrektora ECS,
szef Wydziału Naukowego i Zbiorów,
w instytucji pracuje od piętnastu lat

DWIE IKONY

Obie fotografie przez dziesięć lat były przechowywane w ukryciu. Dziś są ikonami rzezi, jaką w grudniu 1970 roku władza zgotowała obywatelom. Demonstranci nie mieli szans.



GDAŃSKA PIETA

Młody człowiek bez jednej nogi próbuje wstać, bezskutecznie – ten widok prześladowe Bogdana Lisa do dzisiaj. Początkowo rannemu nikt nie pomaga, bo wokół trwają walki. Później podchodzi demonstrant z głową owiniętą bandażem i pochyla się nad rannym, ten moment uchwycił Edmund Chabowski.

– Panowała bezsilność, bezsilność i nienawiść – starcia robotników z wojskiem i milicją na ulicach wspomina Bogdan Lis, uczestnik wydarzeń, późniejszy opozycjonista, wówczas 18-letni mechanik pracujący w Zarządzie Portu Gdańsk.

Smiena

Edmund Chabowski był młodym pracownikiem Politechniki Gdańskiej. 14 grudnia 1970 roku usłyszał od znajomych, że następnego dnia rano strajkujący stocznioowcy Stoczni Gdańskiej im. Lenina spróbują wydostać aresztowanych w trakcie starć ulicznych kolegów. Uznał, że powinien tam być. Do kieszeni kurtki włożył smienę, niewielki aparat fotograficzny. Pierwszy raz spust migawki aparatu nacisnął ok. godziny 8 rano, 15 grudnia 1970. Spod Huciska udał się do budynku dawnego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zrobił zdjęcia tłumowi, płonącego budynku, rozrzuconych dokumentów, jadącej ulicą ciężarówce ze stocznioowcami pod białoczerwoną flagą, śmigłowców latających nisko nad ulicami. Fotografowanie w tłumie nie było bezpieczne. Protestujący obawiali się funkcjonariuszy służb, milicjanci w najlepszej sytuacji konfiskowali sprzęt. Edmund Chabowski

otwarcie rozmawiał z protestującymi, tłumaczył, że chce upamiętnić te ważne historyczne chwile, prosił o pomoc.

Gąsienice

W pewnym momencie ludzie zaczęli rozbiegać się na dźwięk silników ciężkich pojazdów pancernych nadjeżdżających od strony Wrzeszcza.

Na skraju ulicy, po przeciwnej stronie miejsca, gdzie był Edmund Chabowski, grupa stocznioowców wygrażała w kierunku wojskowej kolumny.

– Jeden z pojazdów pancernych zjechał z ulicy wprost w tych ludzi... – wspomina fotograf. – To była rzeź. Dokładnie to widziałem, to było kilkanaście metrów od miejsca, w którym wówczas byłem. Ten transporter wjechał celowo na chodnik po to, żeby zabić. Chabowski przebiegł przez ulicę, krzyknął do ludzi, by się rozstąpili. Na chodniku leżał korpus bez nóg.

– Nie było też głowy. Chodnik był śliski od krwi. Obok leżał ten drugi mężczyzna, bez nogi. Milczał. Myślałem, że nie żyje, jego rana była bardzo poważna, straszna. Później dowiedziałem się, że przeżył. Ktoś z obandażowaną głową do niego podbiegł. Zrobiłem szybko zdjęcie. Sfotografowałem też ślady gąsienic odcisniętych

w chodniku. Wierzyłem, że musi być dowód tego, co się stało – opowiadał Edmund Chabowski.

Ciemnia

Pojazdy pancerne zostały zatrzymane przez protestujących w okolicach Dworca Głównego. Część z nich podpalamo, ten moment oddaje zdjęcie z czołówki tej gazety. Protestujący wyciągali ze środka żołnierzy.

W obawie przed tym, że zakłady fotograficzne są pod szczególnym nadzorem służb, Edmund Chabowski nie oddał kliszy do wywołania. Razem z kolegą wywołał film w ciemni politechniki, choć robił to pierwszy raz w życiu.

W 1980 roku, odpowiadając na apel Solidarności, jak i inni fotografowie przekazał kliszę do skopiowania w centrali Solidarności w Gdańsku-Wrzeszczu. Na podstawie tych zdjęć powstała duża wystawa w Dworze Artusa. Autor udostępnił również fotografie Andrzejowi Wajdzie, gdy ten realizował film „Człowiek z żelaza”.

Ujęcie uchwycone przez Edmunda Chabowskiego przeszło do historii pod nazwą „Gdańska pieta”.

(at)

GRUDNIA

JANEK MIAŁ NA IMIĘ ZBYSZEK

Negatyw tej fotografii Edmund Pepliński przez niemal dziesięć lat przechowywał w ukryciu, pod wieszakiem w przedpokoju. Dopiero w 1981 roku rodzice rozpoznali w chłopcu niesionym na drzwiach swojego syna Zbyszka Godlewskiego. Znała go już wówczas cała Polska pod imieniem Janek Wiśniewski.

Edmund Pepliński mieszkał w Gdyni, ale pracował w Gdańsku, gdzie prowadził zakład Foto Kamera przy Długim Targu w piwnicy pod przedprożem pierzei Złotej Kamienicy. To zdjęcie wykonał z ukrycia z okna swojego mieszkania przy Świętojańskiej 66, był 17 grudnia 1970. Miał wówczas 48 lat.

Sztandar i drzwi

„Ballada o Janku Wiśniewskim”, którego „Na drzwiach ponieśli [...] Świętojańską” najprawdopodobniej powstała w 1971 roku. Słowa napisali Krzysztof Dowgiałło i Jerzy Fic, a muzykę skomponował Mieczysław Cholewa. Cholewa nagrał utwór jesienią 1980 roku. To wówczas bezimienna ofiara otrzymała tożsamość.

Cała Polska poznała Janka Wiśniewskiego latem 1981 roku, gdy premierę miał „Człowiek z żelaza” Andrzeja Wajdy. Brawurowo „Balladę” odśpiewała Krystyna Janda. Tymczasem w 1980 roku Edmund Pepliński przekazał zdjęcie chłopca niesionego na drzwiach działaczom Solidarności. Zorganizowano wystawę w siedzibie związku w Gdańsku-Wrzeszczu, a potem kolejne. 11 grudnia 1981 roku na łamach „Tygodnika Solidarność” ukazał się reportaż Małgorzaty Niezabitowskiej – „Sztandar i drzwi” oraz zdjęcie Peplińskiego.

„Miał może 17 lat. Ludzie otoczyli trupa, potem wzięli go na ręce. Wtedy padł pomysł – drzwi. Ktoś przyniósł sztandar. Umociono go w krwi zabitego i niesiono na przedzie” – Małgorzata Niezabitowska nie mogła wiedzieć, że kilka

miesięcy wcześniej Eugeniusz i Izabela Godlewscy rozpoznali na fotografii swego syna, Zbyszka.

Katafalk

Zbyszek Godlewski w sierpniu 1970 roku świętował osiemnaste urodziny. Po ukończeniu szkoły zawodowej podjął pracę w Stoczni Gdyńskiej im. Komuny Paryskiej. Rankiem 17 grudnia wraz z innymi robotnikami szedł do pracy. Stocznia była jednak zablokowana przez milicję i wojsko. Padły pierwsze salwy z karabinów maszynowych. Wbrew temu, co przedstawiała propaganda, nie strzelano w ziemię, lecz na wprost, w ciałach rannych i zabitych nie było kul po rykoszetach.

Zbyszka dosięgnęły pociski, raniąc go w głowę oraz brzuch i klatkę piersiową. Ciało zabitego chłopca zabrano z wiaduktu. Ktoś wyrwał z okolicznych baraków drzwi od toalety, na których złożono zwłoki. Inni dostali od kapłana z pobliskiego kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa krucyfiks i kwiaty – umieszczono je na ciele Zbyszka. Ktoś krzyknął: „Zanieśmy go pod Dom Partii!”. Robotnicy sformowali pochód i tak ulicami Gdyni pomaszerowali z zabitym niesionym na drzwiach, niczym na katafalku. Nie ustawał atak gazem ze śmigłowców.

Naftowa lampa

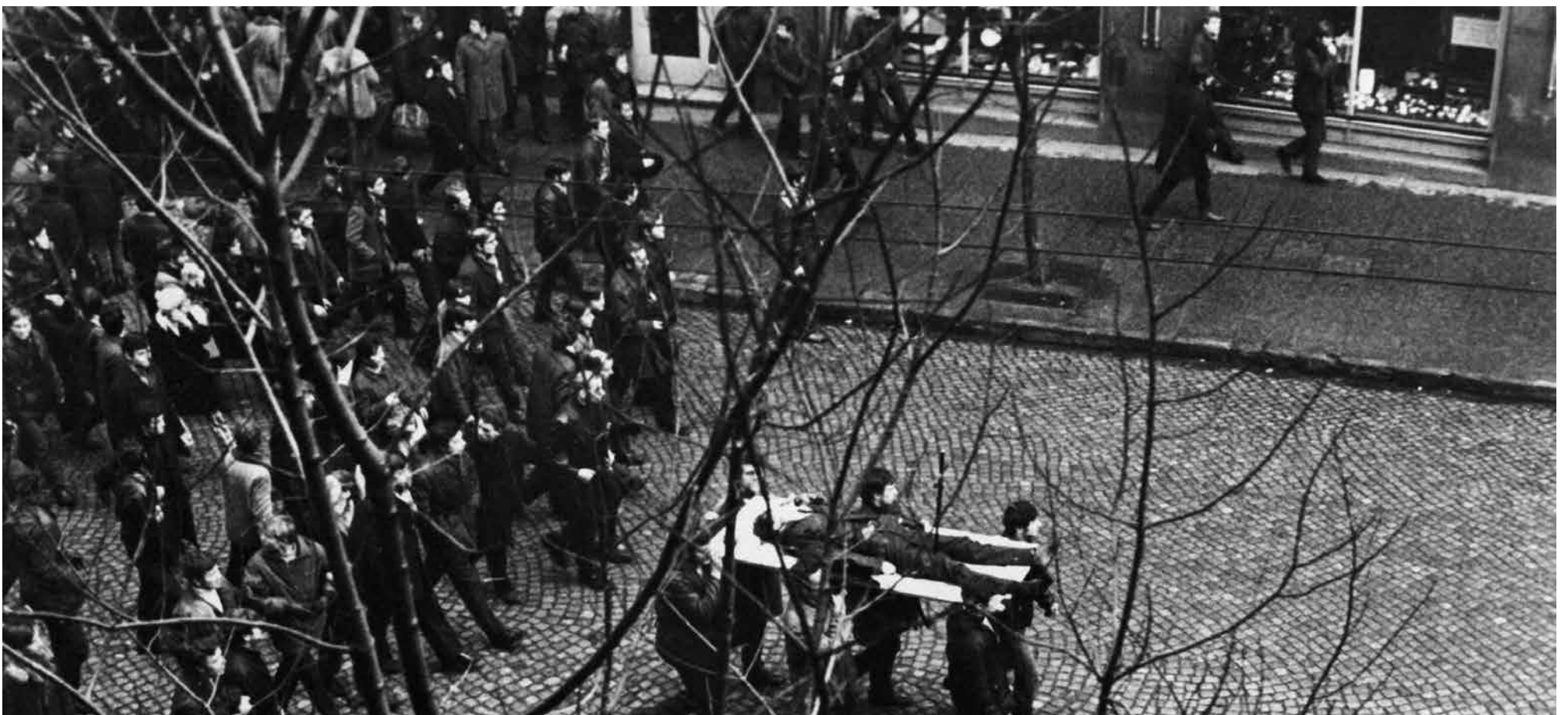
Rodzice dowiedzieli się o śmierci syna z krótkiego telegramu: „Zbyszek nie żyje – Polowski Kazimierz”. Kazimierz był przyjacielem chłopaka, wspólnie niedługo wcześniej

przyjechali z Elbląga do Gdyni. Nazajutrz, 19 grudnia, rozpoczęły się poszukiwania w szpitalach i urzędach. Była jednak sobota – rodzice usłyszeli, by przyjść w poniedziałek. Nieoczekiwanie jednak w niedzielę wieczorem do drzwi Godlewskich zapukali urzędnicy, którzy przedstawili się jako pracownicy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku i poinformowali, że niedługo na cmentarzu Oliwskim w Gdańsku zostanie pochowany ich syn. Pogrzeb Zbyszka odbył się przy udziale kapelana wojskowego, w świetle lampy naftowej. W marcu 1971 roku władze zgodziły się na ekshumację zwłok i przeniesienie ich, wedle woli rodziców, na cmentarz Komunalny w Elblągu. Edmund Pepliński zmarł w 1988 roku.

(at)

Wykorzystano

- / J. Sieński, *Edmund Pepliński – to on zrobił najsłynniejsze zdjęcie z Grudnia 1970*, „Dziennik Bałtycki” 17 grudnia 2011
- / Materiały z konferencji „Grudzień '70 – pamiętamy”, która odbyła się 15 grudnia 2007 w Gdańsku
- / „Grudzień '70. Nieobecność”, projekt Muzeum Miasta Gdyni
- / P. Brzeziński, R. Chrzanowski, T. Słomczyński, *Pogrzebani nocą*, Gdańsk 2015
- / T. Chudzyński, *Wędrówka ulicami zbuntowanego miasta*, „Dziennik Bałtycki” 17 grudnia 2021
- / W. Kwiatkowska, *Grudniowa apokalipsa*, Gdynia 1993



Kula z pistoletu maszynowego „leżała grzecznie” w zaułku przepony. Ten „młody człowiek, cywil” miał podwójnie niesamowite szczęście w nieszczęściu, pocisk nie naruszył ani żeber, ani płuc, a operował go wybitny chirurg. Na ulicach demonstranci bali się ludzi w białych fartuchach, sądząc, że to przebrani zomowcy i będą strzelać.

DAROWANE ŻYCIE

„Młody człowiek, cywil” był operowany 15 grudnia 1970 roku w Akademii Medycznej w Gdańsku. Do postrzału mogło dojść na wiadukcie między stoczną a placem Zebrań Ludowych, może przed Komitetem Wojewódzkim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) w Gdańsku. W kilka godzin w Szpitalu Klinicznym przy ulicy Dębinki przyjęto 364 osoby potrzebujące pomocy.

Dantejskie sceny

Za stołem operacyjnym 15 grudnia stał prof. Jerzy Dybicki, wybitny specjalista z zakresu chirurgii ogólnej, chirurgii klatki piersiowej i chirurgii naczyniowej, wieloletni kierownik I Katedry i Kliniki Chirurgii Ogólnej Akademii Medycznej w Gdańsku (AMG). „Wyjąłem z prawej jamy opłucnej kulę z pistoletu maszynowego [...]” – zapisał prof. Jerzy Dybicki w trzynomowych wspomnieniach, które ukazały się drukiem – „dziwnym trafem kula, lecąca prawdopodobnie z małym już impetem, przebiła tylko ścianę klatki piersiowej, nie naruszając ani żeber, ani płuc. Znalazłem ją leżącą grzecznie w zaułku przepony”. Żona prof. Dybickiego była okulistką, pracowała w Szpitalu Wojewódzkim przy ul. Świerczewskiego, dzisiaj Nowe Ogrody. Rozmawiali przez telefon. Relacjonowała, że „tuż przed jej oknami, rozgrywały się dantejskie sceny kamienowania milicjanta i brutalnego traktowania demonstrujących mieszkańców Gdańska” – chirurg odnotował we wspomnieniach. Zawszą dochodziły strzępy informacji.

Ranni cywile

Liczba pacjentów z obrażeniami poniesionymi w walce rosła. „[...] zaczęto nam przywozić pod cztery kolumny Izby Przyjęć wyłącznie poturbowanych milicjantów, ktoś z ekipy lekarskiej, dyżurującej ze mną od trzech dni non-stop, dostał telefon, że ranni cywile leżą pod murami stoczni. Podjęliśmy decyzję wysłania do centrum miasta dużych rozmiarów karetki szpitalnej, abyśmy mogli sami sprawdzić, czy nie ma gdzieś »leżących pod murem« stoczniowców” – relacjonował prof. Jerzy Dybicki. Odnotował też, że do medyków dochodziły wieści o blokowaniu przez milicję karetek z rannymi cywilami jadących do szpitala. Ambulans był już gotowy do drogi. Miejsca zajęło czworo lekarzy i pielęgniarka.

Salwy karabinów

„Z wielkim uniesieniem i wysokim poziomem adrenaliny we krwi wyruszyliśmy pod moim kierownictwem w stronę Stoczni Gdańskiej. Zasiadłem naturalnie przy kierowcy. Gdy spojrzałem na członków drużyny siedzącej za mną, których chęć pomocy rannym była większa niż naturalne uczucie strachu przed przypadkowym postrzałem, zobaczyłem Janeczkę Tatarkiewicz, anestezjologa, bohaterską sanitariuszkę Powstania Warszawskiego [w rzeczywistości była łączniczką – przyp. red.], Jurka Pryczkowskiego, chirurga naczyniowego z dawnej II Kliniki Chirurgicznej AMG, i Mirkę Narkiewicz, współpracującą od niedawna z profesorem Sokołem w II Klinice Chirurgicznej profesora K. Dębickiego. Była w karetce pielęgniarka na pewno też z tej kliniki, jej imienia moja pamięć nie może jednak przywołać”.

Pod murem stoczni medycy nie znaleźli rannych. Postanowili, że pojadą w kierunku centrum, skąd dobiegały ich pojedyncze salwy karabinów maszynowych.

Blokada

Z wielkim trudem kierowca karetki pokonał trasę ze stoczni ulicą 3 Maja, pokrytą gruzem i odłamkami szkła. Skręcił na skrzyżowaniu w lewo, żeby stanąć przy wejście na most nad torami kolejowymi, przed blokadą milicji. Z oddali widzieli płonący gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. „Nie uzyskaliśmy zgody milicjantów na przejazd do oczekujących pomocy rannych. Kazałem wtedy kierowcy, aby po znalezieniu w ich szeregach większej luki, nabierając prędkości i trąbiąc, przejechał, nie zważając na okrzyki rozbiegających się na obie strony milicjantów. Kierowca nikogo z nich nie przejechał ani nawet nie potrącił” – relacjonuje prof. Dybicki. Chwilę później karetka była już przed płonącym gmachem. „Otaczał nas tłum ubranych w kombinezony robocze i białe kaski stoczniowców”. Medycy byli zdumieni, że nastawienie tłumy jest wrogie, padają wyzwiska. – Demonstranci myśleli, że to zomowcy przebrani w białe fartuchy i że będą do nich strzelać – nie miała wątpliwości prof. Janina Suchorzewska, we wspomnieniach prof. Dybickiego opisana panieńskim nazwiskiem „Tatarkiewicz”.

Jesteśmy z Wami

W pewnym momencie ambulans zaczął się kolebać z koła na koło. Istniało realne zagrożenie, że zostanie przewrócony. Profesor Dybicki otworzył drzwi i stanął na stopniach szoferki. Miał za sobą Powstanie Warszawskie i partyzantkę, nieraz zapewne widział śmierć. „Machając do stoczniowców w geście przyjaźni, starając się przekrzyczeć dobiegające mnie zewsząd głosy nienawiści, wygłosiłem płomienne przemówienie. Wołałem: »Jesteśmy z wami i oświadczam wam, że przyjechaliśmy tu z Akademii Medycznej, aby wam pomóc i zabrać do szpitala waszych rannych towarzyszy«. Niewiele to jednak pomogło. [...] rozległ się krzyk wysokiego robotnika w kasku: »Słuchajcie! Ja go znam, to docent Dybicki, który operował i wyleczył moją mamę. On mówi prawdę«. Zaraz po tych słowach ambulans przestał się trząść. »Bogu dzięki! Odetchnąłem«. Tłum się rozstał, zapewniając, że nie ma wśród nich żadnego rannego, a pojazd powolutku ruszył w drogę powrotną do Wrzeszcza. »W karetce panowała śmiertelna cisza”. Dojechawszy na miejsce, zastali przed szpitalem wielu rannych przywożonych z innych rejonów miasta.

Zburzmy stocznę

Niedługo później prof. Dybicki, zmierzając do pacjenta, któremu dzień wcześniej wyjął kulę z piersi, zasłyszal na korytarzu strzępy rozmowy, którą Zenon Kliszko toczył z dwoma innymi osobami. Zenon Kliszko przyjechał z Warszawy, był wicemarszałkiem Sejmu o długiej przeszłości partyjnej, uchodził za najbliższego współpracownika Władysława Gomułki, I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. Wiemy, że był współodpowiedzialny za masakrę na robotnikach.



Kula wyjęta z piersi młodego człowieka prezentowana jest na wystawie czasowej w ogrodzie zimowym ECS
Zbiory ECS

Jeden z rozmówców „radził temu partyjnemu dygnitarzowi z Warszawy zburzenie pociskami armatnimi całej stoczni. Lepiej byłoby, według niego, żeby zginęło 2-3 tysiące stoczniowców, niż miałby upaść ustrój. Gdy usłyszałem słowa sprzeciwu Kliszki, uspokojony wbiegłem na drugie piętro” – zapisał prof. Dybicki. Profesor Janina Suchorzewska przez osiem dni nie opuściła szpitala, tyle było pracy.

Cześć dla wielkiego zrywu

Kulę wyjętą z ciała mężczyzny chirurg umieścił w srebrnym pucharku, jaki znalazł kiedyś w ogrodzie. Dorobiono do niego niewielką kolumnkę z marmurową podstawką. „Ten mały pomniczek ze znajdującą się w nim kulą miał za zadanie uczcić wielki zryw stoczniowców gdańskich przeciw rządzącym Polską władzom. Stoi w oszklonej gablocie w moim pokoju od czterdziestu już lat i pomaga mi wracać myślami do tamtych pamiętnych chwil mego życia” – we wspomnieniach odnotował prof. Jerzy Dybicki. Po śmierci chirurga kula wraz z oryginalnym kielichem trafiła do zbiorów archiwum ECS. Nie żyje również prof. Janina Suchorzewska. Zenon Kliszko, minister z Warszawy, zmarł trzy miesiące po wyborach 4 czerwca 1989. Nigdy nie stanął przed sądem. Nazwisko mężczyzny, z którego piersi chirurg wyjął kulę, do dziś nie jest znane.

Katarzyna Żelazek

/ dziennikarka i redaktorka, autorka książek, animatorka kultury, współpracuje z ECS od piętnastu lat

ODEBRANE ŻYCIE

W kieszeni skórzanej kurtki 20-letni Ludwik Piernicki nosił medalik z wizerunkiem Matki Boskiej i legitymację honorowego dawcy krwi. Chłopaka dosięgła seria z karabinu maszynowego, zginął na miejscu. To najmocniejszy na wystawie stałej ECS materialny symbol grudniowej tragedii.

Ludwik Piernicki miał dwadzieścia lat i podobał się dziewczynom. W Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, gdzie był zatrudniony w wydziale rurowni, cieszył się opinią cenionego pracownika. Poważnie myślał o przyszłości – miał plany wobec swojej dziewczyny i marzył o budowie domu. Uprawiał żeglarstwo i piłkę nożną, wędkował, zbierał grzyby. Miał czarny motor wueskę.

Trzymaj się w środku

Rodzice Ludwika, Anna i Klemens Pierniccy, tworzyli tradycyjną kaszubską rodzinę. Wśród sąsiadów mieli opinię pracowitych i odpowiedzialnych. Ludwik był pierwszym dzieckiem z szóstki rodzeństwa.

Do pracy w Gdyni chłopak dojeżdżał z Goręczyna. Zmianę zaczynał o szóstej, a kończył o czternastej. Żeby stawić się w pracy na czas, musiał wsiąść do pociągu o wpół do piątej. Do domu wracał o wpół do szóstej wieczorem.

15 i 16 grudnia 1970 roku wiecował, protestując przeciwko podwyżkom cen żywności. 16 grudnia wysłuchał w telewizji przemówienia wicepremiera Stanisława Kociołka, ucieszył się, że wróci do pracy, że postulaty robotników zostaną spełnione. Rodzice prosili, aby pozostał w domu. Przy pożegnaniu matka jeszcze go ostrzegła, aby dla bezpieczeństwa trzymał się w środku tłumu. O wpół do piątej wsiadł do pociągu relacji Kościerzyna – Gdynia. Godzinę później na stacji Gdynia Główna Osobowa przesiadł się do kolejki jadącej w stronę Gdyni Stoczni.

Seria w plecy

Gdy dojechał na miejsce, trafił wprost pod lufy. Ojciec dowiedział się od kolegów syna, że ten, widząc czołgi i pistolety maszynowe z bagnetami, zatrzymał się i nawet chciał wycofać, ale nie mógł. Napierali już pasażerowie wysiadający z następnych składów. Ludwik zwrócił się twarzą do kolegów, za sobą miał wojsko. Gruchnęły strzały. Padło kilku stoczniovców. Ludwik dostał serią w plecy. Zginął na miejscu. Tego dnia w Gdyni życie straciło osiemnaście osób.

Ciało chłopaka koledzy zanieśli do Szpitala Miejskiego. Do rodziców dotarła informacja, że syn leży tam ranny. Ojciec, jeszcze tego samego dnia, próbował dostać się do Gdyni, ale pociąg stanął w Kacku. Nazajutrz w szpitalu dowiedział się, że Ludwik nie żyje, a zwłoki przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Gdańsku.

19 grudnia Klemens Piernicki bezskutecznie zabiegał o zezwolenie na wydanie ciała syna. W domu rozpoczęły się już przygotowania do pogrzebu. Wieczorem, gdy zebrali się w większym gronie sąsiedzkim, aby odmówić różaniec za duszę zmarłego, na podwórko zajechała nysa.

Pogrzeb nocą

Było ok. dwadzieścia minut po osiemnastej. Z auta wysiadł miejscowy milicjant i dwóch urzędników. Obwieścili, że pogrzeb odbędzie się jeszcze dziś na Srebrzysku w Gdańsku o dwudziestej, rodzina może jechać, ale nie jest to konieczne. Ojciec miał paść na kolana i błagać urzędników o wydanie ciała syna, żeby pochować je w rodzinnej wsi.

Ludwika pogrzebano pośpiesznie jeszcze tego samego dnia, ok. dwudziestej pierwszej trzydzieści, na gdańskim cmentarzu Srebrzysko, podobnie jak inne ofiary. Ojciec zobaczył syna leżącego w drewnianej trumnie, nagiego, przykrytego jedynie białym prześcieradłem. Obrzęd był krótki, z udziałem kapłana, ktoś z władz złożył kondolencje.

4 marca 1971 roku ciało Ludwika ekshumowano i przeniesiono na cmentarz w rodzinnej wsi. Przyszło dużo ludzi, przyjechali nawet koledzy ze stoczni.

Skórzaną kurtkę Ludwika Piernickiego przekazała ECS matka chłopaka. W kieszeni wciąż jest legitymacja honorowego dawcy krwi z mottem: „oddanie krwi jest najwyższym czynem humanitarnym świadczącym o wielkiej solidarności społecznej”.

Magdalena Staręga

/ doktor historii sztuki, specjalizuje się w dziedzictwie kulturowym, od czternastu lat pracuje w ECS



Kurtka Ludwika Piernickiego eksponowana jest w sali B wystawy stałej ECS
Fot. Rafał Mroziński / Archiwum ECS

NOC NIE SKRYŁA ZBRODNI

Pod osłoną nocy, w pośpiechu, w 30-minutowych pseudoceremoniach – grzebano ofiary rewolty grudniowej. Nie wszystkie rodziny miały szansę pożegnać bliskich, niewielu udało się otworzyć trumnę, a jeśli już, widok był przerażający. Władze komunistyczne zamierzały ukryć pamięć o zamordowanych.



Dziesięć lat po rewolcie grudniowej pamięć o jej ofiarach nadal była żywa, co dokumentują oba zdjęcia (drugie na stronie obok), grudzień 1980
Fot. Zenon Mirota / Zbiory ECS

Władze PRL skierowały przeciw demonstrantom wojsko, milicję i Służbę Bezpieczeństwa. Do bezbronnego tłumu strzelano ostrą amunicją, a działania służb były zarówno chaotyczne, jak i nacechowane świadomą brutalnością. Zginęło 45 osób, a ponad tysiąc zostało rannych – przypadkowi przechodnie, młodzi robotnicy, ludzie wracający z pracy. Wkrótce na pierwszy plan wysunął się problem pochówków, które postanowiono przeprowadzać w atmosferze tajemnicy...

Pod płotami?

Nocne pogrzeby zabitych w grudniu 1970 roku urosły do rangi ponurego symbolu. Ciała ofiar chowano

w tajemnicy, późnym wieczorem, również w niedzielę, co było pogwałceniem tradycji. Dla rodzin pomordowanych pochówki te były źródłem dodatkowych cierpień, a dla wzburzonych obywateli – dowodem bezduszości i bezwzględności systemu. Nie dziwi więc, że od razu pojawiły się żądania ujawnienia pełnej listy ofiar. Władze obawiały się przerodzenia pogrzebów w manifestację. Można się zastanawiać, czy wstrząśnięte społeczeństwo rzeczywiście byłoby w stanie po raz kolejny – i w takiej sytuacji – na wielką skalę zademonstrować swoje oburzenie i sprzeciw wobec działań rządzących. Decyzja o rozpoczęciu pochówków zapadła rankiem 18 grudnia 1970 roku, a więc zaledwie dzień po gdyń-

skim czarnym czwartku. Trudno uwierzyć, ale na polecenie Zenona Kliszki, członka Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i najbliższego współpracownika Władysława Gomułki, planowano zupełnie inny przebieg ceremonii. Według zachowanych materiałów służby miały „przystąpić do grzebania zmarłych od dziś [tj. od 18 grudnia – przyp. autora] skrycie na cmentarzach, pod płotami, wyrównując ziemię”. Część działaczy wyraziła oburzenie i ostatecznie wyperswadowała ten pomysł, który w istocie przypominał praktyki z najmroczniejszych czasów stalinizmu.

„Normalne” pogrzeby

Podjęto decyzję, że pogrzeby będą „normalne”, choć „z zachowaniem pewnych rygorów gwarantujących porządek publiczny”. Do owych rygorów zaliczano porę – wieczorem, w czasie godziny milicyjnej, miejsce – w oddaleniu od głównych tras cmentarzy, krótki czas na pogrzeb jednej osoby – zaledwie 30 minut. Co równie szokujące, najbliżsi członkowie rodziny mieli dowiedzieć się o pogrzebach zaledwie dwie, trzy godziny wcześniej, by w jak najmniejszej liczbie przetransportować ich bezpośrednio na cmentarz, a stamtąd odwieźć do domu. Trudno więc w tej sytuacji mówić o „normalnych” pogrzebach.

Za organizację pogrzebów odpowiadały Urząd Spraw Wewnętrznych (USW) i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej (PWRN) – toteż obowiązek poinformowania rodzin spadł właśnie na urzędników. Siostra zabitego na ulicach Gdyni Waldemara Zajczonki, studenta Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego w Gdańsku, wspominała po latach, że urzędnik płakał razem z matką zabitego i zwierzył się, iż ma dzieci w tym samym wieku i czuje się tak, jakby to one były chowane.

Nie wszyscy jednak kierowali się empatią i zwykłą przyzwoitością, lecz bezkrytycznym podporządkowaniem wobec poleceń przełożonych. Gdy pracownik USW w towarzystwie funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej (MO) przybyli do domu Józefa Pawłowskiego, zastali tam jedynie jego narzeczoną. Nie zgodzili się poczekać na rodziców, którzy mieli wrócić za godzinę, toteż wraz z młodą kobietą zabrali gospodynię domu, w którym mieszkała para. Znamy jeszcze dwa przypadki, gdy oportunistyczni urzędnicy, nie zastawszy krewnych, zignorowali ten fakt i arbitralnie zdecydowali, że pochówek odbędzie się bez świadków.

Chaos organizacyjny

Za zabezpieczenie akcji mieli odpowiadać funkcjonariusze MO. Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, zajmujący się m.in. nadzorowaniem cmentarzy, był odpowiedzialny za przygotowanie grobów, pracowników

i oświetlenia. Ta ostatnia kwestia również nie została należycie zrealizowana. Większość, jeśli nie wszystkie pochówki, przeprowadzono zaledwie przy kilku lampach naftowych lub latarkach.

Nie udało się od razu stwierdzić tożsamości wszystkich zabitych. 20 grudnia pogrzebano sześć niezidentyfikowanych wówczas ciał na gdańskim cmentarzu Emaus. Ojciec Janusza Żebrowskiego, pochowanego wówczas anonimowo, usłyszał od grabarza, że na tej nekropolii złożono szczątki dwunastu osób – każdą w oddzielnej mogile. Źródła i badania nie potwierdzają jednak tego stwierdzenia.

Panował ponadto chaos organizacyjny – dość powiedzieć, że w wypadku Kazimierza Zastawnego pomyłono adresy, ktoś zamiast ul. Długiej zapisał ul. Wróblą, przez co nie zdołano dotrzeć do jego krewnych, zaś ciało zostało odesłane do kostnicy. Z kolei urzędnik poszukujący bliskich Andrzeja Perzyńskiego ze wsi Lalkowy, zabitego 15 grudnia, udał się pod gdański adres, gdzie zastał... żyjącego Andrzeja Perzyńskiego.

Bywały także przypadki urągające wszelkim standardom. Jeden z zabitych został pochowany boso, w szpitalnej piżamie. W innym wypadku urzędnicy odmawiali otwarcia trumny. Ulegli po żądaniach matki. Ta doznała szoku, gdy ujrzała półnagie ciało syna odziane jedynie w koszulę od piżamy.

A księdza chcecie?

Aby nadać tym ponurym wydarzeniom pozory normalności i częściowo uspokoić uczestników ceremonii, władze postanowiły włączyć do nich duchowieństwo. Za pośrednictwem pracowników Wydziału ds. Wyznań PWRN zwrócono się więc do proboszczów i księży diecezjalnych o udział w pogrzebach. Duchowni odmówili, świadomi, że ich obecność oznaczałaby przyzwolenie na dokonujące się zło i godziła w zaufanie do Kościoła. Byłoby to zresztą sprzeczne z prawem kanonicznym. Nie powstrzymało to jednak władz przed fałszywym przedstawianiem pogrzebów jako przeprowadzonych za zgodą kurii.

By zrozumieć skalę naruszeń popełnianych przez władze, warto przypomnieć, jak powinien wyglądać normalny pogrzeb zgodnie z przepisami prawa kanonicznego. Prawo do pogrzebu kościelnego przysługuje wszystkim ochrzczonym, a jego sprawienie stanowi obowiązek Kościoła wobec wiernego. Przepisy kościelne mówią, że kluczowym elementem ceremonii pogrzebowej jest nabożeństwo odprawiane zasadniczo w parafialnym kościele zmarłego.

Miejscem spoczynku ma być cmentarz parafialny, chyba że zmarły lub jego upoważniony pełnomocnik wyrazi inne życzenie, przy czym pochówek na innym cmentarzu wymaga zgody proboszcza parafii zmarłego. Sam proboszcz pełni funkcję szafarza pogrzebu i odpowiada za wpisy do ksiąg metrykalnych, nawet gdy ceremonia odbywa się poza parafią.

Aby uspokoić nastroje i zachować pozory religijności, władze zwróciły się do lojalnych wobec reżimu kapelanów wojskowych, którzy byli w zasadzie pozbawieni stałej jurysdykcji kościelnej.

Bliscy zamordowanych wspominali, że urzędnik zadawał pytanie, czy chcą udziału księdza. Nie dziwi więc, że wstrząśnięte rodziny pytały, czy byli to prawdziwi kapłani?

Płacz, krzyki i omdlenia

W warunkach ustanowionych przez władze nie było mowy o odprawieniu mszy za duszę zmarłego. Rodziny, o ile były obecne, nie miały nawet czasu na modlitwę. Śpiew był zakazany. Kapelani wojskowi ograniczali się jedynie do krótkiej modlitwy nad grobami i pokropienia ciał. Nie można usprawiedliwiać postawy kapelanów, choć alternatywą byłby po prostu brak udziału du-



chownego w tej pseudoceremonii. Dziś możemy jedynie domniemywać, czy za zgodą stała potrzeba wypełnienia uczynków miłosierdzia względem ciała i uczciwość wobec własnego sumienia, czy też powody były bardziej prozaiczne.

W takich warunkach 19 grudnia miał się odbyć pogrzeb 18-letniego Stanisława Sieradzana. Jednak zdecydowany opór i determinacja rodziny spowodowały, że urzędnicy odstąpili od przyjętych zasad. Sieradzanie zgodzili się na tradycyjne uroczystości pogrzebowe w kościele i na cmentarzu witomińskim w Gdyni. Wyjątkiem była pora – godzina milicyjna. Samo zaś nabożeństwo odbyło się z udziałem kilkudziesięciu osób, które otrzymały w tym celu specjalne przepustki. Proboszcz parafii św. Antoniego, do której należał Sierdzan, franciszkanin o. Stanisław Frejlich wspominał o płaczu, krzykach i omdleniach obecnych tam osób: „Jedziemy na cmentarz – z br. Florianem [Wilkiem] taksówką, wierni autokarawanem. Reflektory samochodu oświetlają grób. Ziemię pokrywa śnieżna biel, której przed chwilą nie było”.

Ekshumacje

Było oczywiste, że bliscy ofiar będą domagać się ekshumacji w celu zorganizowania im godnych uroczystości pożegnalnych i przeniesienia ich doczesnych szczątków na inne nekropolie. W większości wypadków tak się rzeczywiście stało. Pierwsze pozwolenia zostały wydane w lutym 1971 roku. Wykopane trumny były zamykane w nowych, metalowych, które następnie zaspawano. Rodziny przeważnie nie miały możliwości obejrzenia zwłok. Nad przebiegiem ceremonii po raz kolejny czuwali pracownicy USW i funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Poza jednym przypadkiem – w Szczecinie – ponownym pochówkom nie towarzyszyły manifestacje. Te przygnębiające uroczystości były bowiem okazją do oddania należnego szacunku zabitym, bo tego przecież zostali pozbawieni w grudniu. Teraz pogrążone

w bólu i żałobie rodziny mogły wreszcie pożegnać swoich bliskich.

dr Piotr Abryszeński

/ historyk, politolog, pracował w Europejskim Centrum Solidarności (2011–2020), obecnie jest zatrudniony w IPN Gdańsk

PAMIĘĆ PRZETRWAŁA

Większość pogrzebów osób zabitych w Grudniu 1970 w samym Trójmieście przeprowadzano w dniach 18–20 grudnia 1970 roku. W Szczecinie, ze względu na utrzymujący się stan niepokojów społecznych, odbywały się one w nocy z 22 na 23 grudnia w godzinach 18–5. Nocne pochówki są wyjściem do rozważań na temat mechanizmów władzy komunistycznej, jej brutalności i bezduszości. Nie udało się pogrzebać prawdy pod osłoną nocy. Pamięć o ofiarach Grudnia 1970 roku nie tylko przetrwała, ale stała się fundamentem narodzin Solidarności. Na placu przed Stoczną Gdańską im. Lenina, gdzie otworzono ogień do demonstrantów, wznosi się okazały pomnik Poległych Stoczniovców 1970, który przypomina o tragedii sprzed 55 lat.

Wykorzystano

/ P. Abryszeński, D. Gucewicz, *Grudniowa kolęda. Kościół katolicki w Trójmieście wobec Grudnia '70*, Gdańsk–Warszawa 2020
/ P. Brzeziński, R. Chrzanowski, T. Słomczyński, *Pogrzebani nocą. Ofiary Grudnia '70 na Wybrzeżu Gdańskim. Wspomnienia, dokumenty*, Gdańsk 2015
/ *Grudzień 1970*, red. P. Jegliński, Paryż 1986

Co o wydarzeniach grudnia 1970 sądzą zwykli Polacy?
Jak komentowali je komuniści chińscy, a jak sowieccy?
W jaki sposób wsparto Polki i Polaków w zagranicznej prasie, a także podczas wieców i pasterek?

Widok z Biskupiej Górki na płonący Komitet Wojewódzki
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Gdańsku, 15 grudnia 1970
Fot. autor nieznany / Zbiory ECS



BEZBRONNI I GŁODNI

Tragiczne wydarzenia z grudnia 1970 roku były szeroko komentowane – zarówno w Polsce, jak i za granicą.

Rozgoryczony stoczniovec

O tym, co o nich sądzą zwykli Polacy dowiadujemy się głównie z listów, jakie wysyłali m.in. do Polskiego Radia i Telewizji Polskiej czy Radia Wolna Europa, zazwyczaj zresztą przezornie nie podając swoich nazwisk. O pierwszych protestach anonimowy nadawca z Trójmiasta pisał: „Dzisiaj, w poniedziałek potężna demonstracja na ulicach Gdańska. Studenci ze stoczniovcami wyrażają swój protest, a więc miliony tak myślą, jak ja”. Rzeczywiście, gdańszczanie wyszli tego dnia tłumnie na ulice, ale apele robotników do studentów o wsparcie pozostały praktycznie bez echa. W listach nie tylko opisywano – często z przesadą – przebieg zdarzeń na Wybrzeżu (m.in. zawyżając liczbę ofiar śmiertelnych), ale również komentowano postawę peerelowskich władz. I tak np. anonimowy autor z Gdańska, który swój list podpisał „Rozgoryczony i zawiedziony stoczniovec” stwierdzał: „Mówią i piszą, że władza jest ludowa, wybrana przez lud, wojsko z ludem. A praktyka pokazuje, do czego jest zdolna ta władza ludowa”. I dodawał: „Pokażcie mi kraj na Zachodzie, w którym strzela się do ludzi wyciągających rękę po chleb. To jest możliwe tylko w socjalizmie”.

Psie krwie

Dużo ostrzejsza była ocena nadawcy anonimu z Poznania, który pisał: „Wygłodniali robotnicy, kobiety i dzieci wylegli na ulice dopominać się o swoje prawa. Demonstrowali przeciwko drakońskiej podwyżce cen. [...] Polała się krew robotnicza na Wybrzeżu. Żołdactwo dało salwy w tłum bezbronnym, głodnym ludzi”. I dodawał: „Trzęsą się Gomułka, Cyrankiewicz, Spychalski przed gniewem zrozpaczonych tłumów. Jedyną ich »obroną« – to salwy z karabinów i czołgów do Polaków. Ale zbliża się kara dla krwawych władców i właścicieli Polski Ludowej”. Autor innego anonimu, nadanego z Łodzi, z kolei ironizował: „Widać chuligani chuliganów nie poznali, a raczej obywateli, którzy upominali się o swój chleb”. I dalej: „Szkoda, że kacapów nie zaprosili, psie krwie, żyjące naszą krzywdą”. Natomiast autor anonimowego listu – tym razem wysłanego z Ustronia Cieszyńskiego – stwierdzał: „Stare przysłowie mówi: zapomniał wół jak cielęciem był. A Gomułka też zapomniał, jak kiedyś mówił, że tylko granatowa policja używała pałek na robotników. I kto dzisiaj strzela do gdańskich, szczecińskich robotników?”. I ostrzegał: „Niech sobie Gomułka nie myśli, że terrorem i karabinami zaspokoje głód i drożyznę w Polsce”.

Zbrodniarze pokojowi

Autor anonimu z Poznania pisał z kolei: „Domagamy się karania zbrodniarzy wojennych – słusznie! Karzmy też zbrodniarzy pokojowych. Kto odpowie za masakerę w Gdyni? – tam przecież nie palono i nie »plądrowano«, jak to próbowano usprawiedliwić poczynania siepaczy w Gdańsku i Szczecinie”. To domaganie się kary dla osób odpowiedzialnych za grudniową masakerę było zresztą częstym elementem listów. Pojawiała się w nich również kwestia represji wobec uczestników Grudnia '70. I tak np. autor lub autorzy anonimu nadanego z Gdyni, podpisanego „Stoczniovcy”, stawiał (stawiali) szereg pytań, np. dlaczego: „podczas manifestacji i po jej zakończeniu aresztowano niewinnych ludzi i zmasakrowano ich w celach więziennych Gdańska, Gdyni i okolicznych miast?”, „do dnia dzisiejszego przetrzymuje się ludzi w więzieniach i poddaje nieludzkim torturom?”, „ofiary nieludzkiego systemu grzebano nocami?” i „do dnia dzisiejszego nie podano do publicznej wiadomości pełnej ilości zamordowanych podczas masakry?”. Autor lub autorzy listu podpisanego „Elbłążanie” upominał (upominali) się m.in. o pomoc „dla niewinnych ludzi, których łapano na ulicach i zrywano w nocy z łóżek, tych ludzi, którzy nie brali w tym udziału, a mają na to świadków, że w tych dniach w ogóle nie wychodzili z domów”.

Wstrzemięźliwi

Politycy – co ciekawe poza komunistycznymi, którzy żywo interesowali się wydarzeniami w PRL – byli bardzo wstrzemięźliwi w komentowaniu wydarzeń w naszym kraju. Willy Brandt, kanclerz Republiki Federalnej Niemiec, stwierdzał, że to zdarzenia „czysto wewnętrzne”. Reakcja komunistów była zróżnicowana, bardzo często jednak potępiano polskich towarzyszy. I tak np. Komunistyczna Partia Australii wystosowała list do kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w którym stwierdzano m.in.: „Użycie przemocy przez policję i oddziały wojskowe w odpowiedzi na protesty robotnicze skierowane przeciw poważnym podwyżkom cen żywności, są sprzeczne z zasadami socjalizmu i charakterem władzy robotniczej, na której społeczeństwo socjalistyczne powinno się opierać”. Ocena zdarzeń w Polsce wywołała polemiki między komunistami chińskimi (szczegółowo zresztą je relacjonującymi, włącznie z brutalnością władz PRL) a sowieckimi. Dla tych pierwszych protesty polskich robotników były – skądinąd – „walką rewolucyjną o masowym charakterze, skierowaną przeciwko rewizjonistom”.

Huk na świecie

Ograniczeń polityków zachodnich nie miała prasa, związki zawodowe czy emigranci z Polski.

Polska na kilkanaście dni trafiła na czołówki zachodniej prasy, stała się ważnym, wręcz dominującym tematem radiowych i telewizyjnych programów informacyjnych czy artykułów prasowych.

Dość często w zachodnich mediach bunt robotników z grudnia 1970 roku porównywano do poznańskich wydarzeń z czerwca 1956 roku – zauważając zarówno podobieństwa, jak i różnice pomiędzy nimi. I tak np. na łamach „Le Monde” stwierdzano: „Bunt poznański w roku 1956 był początkiem rewolucji. Była wówczas nadzieja. Bunt w roku 1970 ma na razie wszelkie cechy aktu rozpacz”. O różnicach między obiema robotniczymi rewoltami pisał również – do reakcji londyńskiego „Timesa” – światowej sławy polski filozof Leszek Kołakowski. W zachodnich mediach podkreślano też, że po raz pierwszy w kraju komunistycznym robotnicy doprowadzili do zmian na szczytach komunistycznych władz.

Jak stwierdzano na antenie Radia Wolna Europa, 23 grudnia 1970 roku: „W całym świecie aż huczy o wydarzeniach w Polsce, choć władze starały się przeszkodzić pracy zagranicznych dziennikarzy, którzy znaleźli się na Wybrzeżu”. W mediach starano się opisywać – m.in. za pośrednictwem obecnych w Polsce korespondentów, ale również przypadkowych świadków, np. marynarzy – przebieg zdarzeń w naszym kraju. Nic zatem dziwnego, że nie brakowało plotek i fałszywych informacji, m.in. o koncentracji wojsk sowieckich przy granicy polsko-niemieckiej czy liczbie ofiar śmiertelnych. Analizowano przyczyny wydarzeń, a także starano się przewidzieć ich konsekwencje, na koniec zaś komentowano zmiany na szczytach peerelowskich władz.

Polityczni panowie

O Grudniu '70 było także głośno w tak odległych krajach, jak np. Brazylia, Indie czy Peru. W tym ostatnim państwie dziennik „La Prensa” pisał m.in., że demonstracje w Polsce „raz jeszcze pokazały, że system komunistyczny nie jest w stanie zapewnić ludności minimalnego i elementarnego standardu życia”, a „reżim komunistyczny nazywa ludzi głodnych, głodnych chleba i wolności, zwykłymi bandytami i chuliganami”.

Pisano nie tylko o wydarzeniach na Wybrzeżu, ale również w innych częściach Polski, m.in. o rozpędanym przez milicję wiecu w Krakowie czy o strajkach w Hucie „Warszawa”. Oczywiście sympatia zachodnich mediów i szerszej opinii publicznej była po stronie protestujących. I tak np. na łamach konserwatywnego dziennika „Daily Telegraph” odnotowano, że „nie sposób nie odczuwać głębokiego żalu z powodu cierpień zwykłych ludzi w Polsce, którzy i tak już wiele wycierpieli”. I dodawano: „Rzadko się zdarza, że[by] ludność mająca tyle zasług doczekała się ze strony swoich politycznych panów tak bezwstydного sponiewierania”.

Międzynarodowa Federacja Metalowców wezwała władze PRL, aby te „przystały odpowiadać na żądania robotników czołgami, wojskiem i śmiercią”.



Czerwona tyrania

Bardzo aktywna była Polonia. Organizowała manifestacje w proteście przeciwko działaniom władz PRL i z poparciem dla protestujących rodaków. 27 grudnia 1970 roku, w brytyjskim Leeds, polscy studenci nieśli na przykład biało-czerwone chorągwie przepasane czarnymi szarfami oraz wznosili (po polsku i po angielsku) okrzyki: „Chleba i wolności dla Polski” czy „Precz z czerwoną tyranią”. Takich demonstracji było oczywiście zdecydowanie więcej, np. w Nowym Jorku kilka tysięcy uczestników nie tylko protestowało przed siedzibą Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale również domagało się, aby ONZ podjęła działania w celu „zabezpieczenia praw człowieka ludności w Polsce”. Niewielki wiec z udziałem ok. 300 osób – w tym przedstawiciele Łotyszów, Węgrów i Ukraińców oraz kilku posłów do Parlamentu Nowej Południowej Walii – Polacy zorganizowali również w Sydney.



Czołgi i transportery opancerzone na ulicy w Szczecinie, grudzień 1970
Fot. Lechosław Trzęsowski / Zbiory ECS

Tragiczne wydarzenia w kraju komentowali też liderzy oraz czołowi przedstawiciele polskiej emigracji. I tak np. prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Alojzy Mazewski stwierdzał: „Fakt, że robotnicy w miastach Wybrzeża zniszczyli i spalili lokale partii, najwyraźniej określa stosunek narodu wobec komunistycznych rządów. [...] Wydarzenia grudniowe przyjmujemy, jako odważny i jawny bunt przeciwko władzy komunistycznej”.

Polscy emigranci pisali również rezolucje czy listy protestacyjne. Wolni Polacy Paryża wyrażali np. „głębokie oburzenie i protest przeciwko masakrze polskich robotników protestujących przeciw nędzy i niewoli narzuconym Polsce przez totalitarne władze”, a także wzywali „wszystkie związki zawodowe Zachodu do akcji na rzecz obrony przed represjami

zbiorowymi i indywidualnymi wszystkich uczestników ostatnich manifestacji w Polsce”. Polacy na emigracji nie ograniczali się jedynie do demonstracji czy komentarzy. Starali się również wesprzeć finansowo osoby zaangażowane w grudniowe protesty. Przykładowo podczas pasterki w Manchesterze zebrano na ten cel 300 funtów. Podobnie było w Nottingham, Cardiff, Edynburgu i wielu innych miastach na Zachodzie. Wsparcie finansowe nadsyłało również pocztą. Jeden z darczyńców pisał: „Zamiast szykowanego na drugi dzień świąt przyjęcia dla przyjaciół przesyłamy funtów 20-cia na ręce Komitetu Pomocy [Rodakom]”.

Grzegorz Majchrzak

/ historyk, pracownik Biura Badań Historycznych IPN

GRUDZIEŃ W POEZJI

Tragiczne wydarzenia z grudnia 1970 roku stały się również tematem dla autorów poezji. Najbardziej znanym i najgłośniejszym tego przykładem jest oczywiście „Ballada o Janku Wiśniewskim”, śpiewana m.in. przez barda Solidarności Jacka Kaczmarskiego. Jednak takich utworów – często napisanych na gorąco – było zdecydowanie więcej. I tak np. autor anonimowego wiersza zatytułowanego „Strajk” ze stycznia 1971 roku pisał: „Dziś do ciebie przyjść nie mogę / W dym pławiący idę już / Nie wyglądam przez bramę / W łzach i tak nie ujrysz mnie [...] / Cyrankiewicz wydał rozkaz / Wszędzie słysząc strzał i jęk / To szczecińska grupa MO / W lud roboczy salwy śle / Robotników pada masa / Co walczyli o swój byt / Lud roboczy rację ma”. Z kolei autor „Ballady grudniowej” pisał m.in.: „15 grudnia roku pamiętnego / Poszli ulicami, miasta portowego / Robotnik stoczniowy, z dokerem pod rękę / Nie wiedząc, że własną krwią piszą piosenkę [...] / Szli tylko przypomnieć, tym co zapomnieli / Że nim w tłuszcz obrośli, w rękę kilof mieli / Lecz gdy zawołali, chleba daj nam Polsko! / Przysłała im władza milicję i wojsko / Zaciśnięte ręce, wznieśli ponad głowy / Stoczniowiec i doker, żądali rozmowy / Zamiast odpowiedzi, do tłumu się strzela / Umiera stoczniowiec, na rękach dokera / Gdy krew się polała, serca się wzburzyły / I swoim płomieniem dom partii spalili”.

Władysław Gomułka nie kazał strzelać do ludzi, tylko do „elementu kontrrewolucyjnego i kryminalnego”, bo „normalni robotnicy nie podnoszą ręki na władzę ludową”.

ELEMENTY ROZWYDRZONE

Władysław Gomułka – zwany „towarzyszem Wiesławem” – miał wielką moc, przekładając na dzisiejsze realia – premiera i prezydenta razem wziętych. W grudniu 1970 roku już od czternastu lat sprawował funkcję I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (KC PZPR). Głęboko wierzył, że klasę robotniczą i partię łączy nierozzerwalny sojusz.

Jedność klasy robotniczej

Propaganda PRL wielokrotnie odwoływała się do haseł, które jednoznacznie wskazywały na „jedność klasy robotniczej” i co więcej, niepodważalną łączność tejże klasy z partią rządzącą.

Kim była klasa robotnicza? Tworzyły ją rozmaite grupy społeczne i zawodowe, wśród nich zaś szczególne znaczenie miały te związane z przemysłem stoczniowym.



Władysław Gomułka w trakcie przemówienia, lata 60. XX wieku
Fot. Janusz Bałanda Rydzewski / Zbiory ECS

Dlaczego? Symbolizowały bowiem postęp technologiczny i samowystarczalność ekonomiczną. Wielokrotnie powtarzane hasła o sojuszu stoczniovców z PZPR wpisywały się w niemalże uniwersalną formułę „Stoczniovcy zawsze z Partią i Partia ze Stoczniovcami” (nie bez przypadku zawsze wielką literą).

Na przestrzeni kolejnych dekad PRL stoczniovcy zajmowali poczesne miejsce podczas uroczystości obchodzonych świąt związanych z morzem, stoczną, produkcją okrętową i życiem codziennym na Wybrzeżu. Do takich zaś należały niewątpliwie Dni Morza i Dzień Stoczniovcy, celebrowane od 1945 roku. Uroczystości przybierały formę uroczystych akademii, w których uczestniczyli – oprócz rodzimych „najwyższych czynników partyjnych” – także delegacje zagraniczne „bratnich narodów wspólnoty socjalistycznej”. Prasa reżimowa nad wyraz chętnie rozpisywała się na temat tychże uroczystości, skrupulatnie relacjonując ich przebieg oraz znaczenie dla rozwoju przemysłu okrętowego będącego „dumą całego kraju”.

Zmiana punktu widzenia

W grudniu 1970 „Wiesław” był 65-letnim człowiekiem, skompromitowanym politycznie i społecznie wydarzeniami z marca 1968 roku na Uniwersytecie Warszawskim, gdy władza wydała rozkaz brutalnego stłumienia protestów studenckich w obronie kolegów relegowanych z uczelni i wolności kulturalnej w PRL. O ile jednak wówczas udało mu się utrzymać u steru władzy, o tyle dwa lata później jego dni na najwyższym stanowisku w państwie były już policzone. W tym czasie I sekretarz KC PZPR coraz bardziej podupadał na zdrowiu, wyostrzały się jego mało pozytywne cechy charakteru, takie jak: apodyktyczność, nieustępliwość, skłonność do ascezy, wrogość do innych i nieustanna podejrzliwość. Zakulisowe rozgrywki wewnątrzpartyjne, mające na celu odsunięcie Gomułki od władzy, przybierały na sile.

12 grudnia 1970 roku I sekretarz w przemówieniu radiowo-telewizyjnym poinformował Polaków o wprowadzanych zmianach cen towarów. Drastyczna podwyżka najważniejszych artykułów żywnościowych, a zwłaszcza mięsa, była bezpośrednią przyczyną wszystkiego, co działo się w kolejnych dniach.

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR 15 grudnia, Gomułka mówił: „W obliczu brutalnego pogwałcenia porządku publicznego, masakrowania milicjantów, palenia gmachów publicznych itp. należy użyć broni wobec napastników, przy czym strzelać w nogi”. Dyrektywa wydana organom bezpieczeństwa przez towarzysza „Wiesława” jest jaskrawym przejawem nie tyle bezwzględności I sekretarza wobec własnych rodaków oraz jego determinacji w obronie interesów PZPR, ile instrumentalizacji traktowania stoczniovców uchodzących do tej pory za niekwestionowaną i wynoszoną na partyjne sztandary „dumę” państwa polskiego, a wręcz awangardę klasy robotniczej. Najpierw stoczniovcy, którzy odważyli się podważyć dotychczasowy porządek, a potem masakra na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku – oba te wydarzenia diametralnie odmieniły tę „dumę”, przekształcając ją w bezwzględną rewoltę i bratobójczą walkę.

Użycie ognia

Niewiarygodne i tragiczne w swej wymowie są też słowa Gomułki wypowiedziane 17 grudnia podczas kolejnej narady sztabu kryzysowego. Były bohater Października '56, czyli odwilży po śmierci Stalina, witany wówczas owacjami wielotysięcznego

tłumu, czternaście lat później utyskiwał na brak rzetelnych informacji z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW): „W Gdańsku jest 2 tys. milicjantów, ale strzelać musiało wojsko. Co robiła MO [Milicja Obywatelska – przyp. red.]? Oni w pierwszej kolejności powinni użyć broni. Okazuje się, że strzelali ślepyimi nabojami, już po utrzymaniu rozkazu użycia broni. Wojsko powinno być drugim rzutem, a pierwszym milicja. Tymczasem oni strzelają ślepyimi nabojami! To niesłuszne, że wojsko strzela pierwsze. Do tego powołana jest MO. [...] Ponieważ milicja dotychczas nie strzelała, aktywizowało to elementy rozwyrzone. Po użyciu ognia w Gdańsku wczoraj demonstracje się załamały”. Znamienne, iż I sekretarz KC PZPR wykazuje niesłuszność logistyki działań milicji i wojska, podczas gdy sama ich istota, a więc strzelanie do ludzi, zdaje się schodzić na dalszy, całkowicie drugorzędny plan. Nie powinno to jednak dziwić, skoro w skrzywionej i przesyczonej gniewem percepcji „Wiesława” strajkujący stocznioowcy zostają całkowicie zdehumanizowani. Przestając być ludźmi i stając się „rozwydrzonymi elementami”, nie są w stanie wzbudzić u Gomułki żadnej głębszej refleksji nad wartością życia ludzkiego, żadnego moralnego sprzeciwu wobec zabijania lub przynajmniej godzenia się na śmierć niewinnych i zdesperowanych ludzi.

Władzy trzeba bronić

Każda kolejna wypowiedź Gomułki na temat eskalacji sytuacji na Wybrzeżu, a przede wszystkim samych stocznioowców, nie pozostawia złudzeń co do tego, jak głęboko I sekretarz partii w tamtym czasie nimi pogardzał. Każdy kolejny wybuch gniewu jednoznacznie obnażał jego instrumentalne podejście do oficjalnej ideologii wynoszącej na piedestał „klasę robotniczą”. Otwarcie atakując służby podległe MSW, ujawniał nie tylko swój stosunek do strajkujących, ale także pragmatyczne podejście do oficjalnej propagandy: „Nikt tutaj nie zna dobrze przepisów, ani minister spraw wewnętrznych, ani komendant MO, ani Moczar [...]. Ja już słuchać nie mogę, jak rzekomo funkcjonariusze MO i MSW bohatersko działali, a faktycznie nic nie robili [...]. Stworzyliście atmosferę zgniłego liberalizmu i rozwyrzenia chuliganów. Kto dał rozkaz strzelania ślepyimi nabojami? Jak można w ten sposób bronić władzy? Ja gwizdę na całą propagandę, jeśli trzeba będzie strzelać i w ten sposób utrzymać porządek. Ja powinienem pozejmować ministrów i komendantów MO za to, że nie znają prawa”.

Breżniew radzi

Lekceważenie oficjalnego dyskursu ideologiczno-propagandowego ze strony Gomułki znalazło swoje ostateczne potwierdzenie w treści rozmowy telefonicznej z sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Leonidem Breżniewem, podczas której to właśnie przywódca „bratniego Kraju Rad” zdawał się wyrażać zatroskanie o los klasy robotniczej. Na pytanie, a przede wszystkim wyrażoną wątpliwość, czy naprawdę należało strzelać do robotników, Gomułka w swym zacierzwieniu konsekwentnie powtarzał, iż strajkujący nie są klasą robotniczą, że to wyłącznie „elementy kontrrewolucyjne i kryminalne” działające „pod dyktando prowodyrów”. Ostatecznie I sekretarz skonstatował: „Tam nie ma normalnych robotników, normalni robotnicy nie podnoszą ręki na władzę ludową, powtarzam wam, to kontrrewolucja”. Gomułka niewątpliwie wierzył we wszystkie wypowiedziane przez siebie słowa, konsekwentnie odpierając wszelkie argumenty świadczące przeciwko jego przekonaniom.

Nie ma usprawiedliwienia

Dramatem I sekretarza KC PZPR była właśnie wiara we własną nieomyślność, ideowość w rozumieniu marksistowsko-leninowskim tak ekstremalną, że aż prowadzącą do zbrodni i utraty kontaktu z rzeczywistością. Tragizm tej postaci na tle wydarzeń Grudnia '70 i burzliwych dziejów PRL jest wielowymiarowy, lecz w żadnej mierze nieporównywalny ze śmiercią kilkudziesięciu robotników, którym I sekretarz odmówił prawa do godności i człowieczeństwa. Ten sam człowiek, który w latach 50. uchodził niemalże za męża opatrnościowego, symbol nowej epoki, nadzieję milionów Polaków na autentyczną demokratyzację systemu, w obliczu wydarzeń, które tylko pozornie miały charakter wyłącznie ekonomiczny, socjalno-bytowy, okazał całą swą bezwzględność i brak jakichkolwiek zahamowań moralnych czy po prostu czysto ludzkich odruchów.

Na próżno szukać dziś okoliczności, które usprawiedliwiałyby lub chociaż pozwoliły zrozumieć decyzje ówczesnego I sekretarza. Bez względu na opresyjność systemu, jego niedemokratyczny, a wręcz jak twierdzą niektórzy badacze, totalitarny charakter, dobrowolne obciążenie swego sumienia śmiercią kilkudziesięciu ludzi, autentycznych przedstawicieli „klasy robotniczej”, wymyka się jakimkolwiek próbom zracjonalizowania tragicznych wydarzeń Grudnia '70. Bo choć Gomułka, w odróżnieniu od innych ówczesnych decydentów także mających swój udział w rozkazach wydawanych wojsku i milicji, nigdy nie wyparł się swej jednostkowej odpowiedzialności za nakaz strzelania do robotników, których *de facto* za robotników wcale nie uważał, trudno doszukiwać się w tej okoliczności jakiegokolwiek usprawiedliwienia czy próby zrozumienia sytuacji, w jakiej znalazł się I sekretarz.

Nierozliczona zbrodnia

Masakra na Wybrzeżu stanowi więc jedną z wielu nierozliczonych zbrodni PRL. Żadna z osób odpowiedzialnych za tragiczne wydarzenia grudnia 1970 roku nie poniosła



Karykatury odsuniętych od władzy komunistów: Bieruta, Gomułki, Cyrankiewicza, Jaroszewicza i Gierka, autorstwa Andrzeja Czeczota, były elementem scenografii podczas I Przeglądu Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki” w gdańskiej Hali Olivia. Elżbieta Goetel, aktorka teatru Wybrzeże, zaśpiewała mając ich za plecami „Postulat 22”, 21 sierpnia 1981
Fot. Alfons Klejna / Zbiory ECS

konsekwencji, poza odsunięciem od władzy na mocy wymiany elity rządzącej, skupionej odtąd wokół Edwarda Gierka. Ten, po długich perturbacjach personalnych w Biurze Politycznym, ostatecznie zajął miejsce Gomułki 20 grudnia 1970 roku. „Wiesław” został odsunięty od władzy jako człowiek wyczerpany fizycznie i psychicznie. Przez następne lata nie dzielił się wspomnieniami z Grudnia '70. Nie jest zatem możliwe stwierdzenie, czy miał wyrzuty sumienia. Można jedynie przypuszczać, że gdyby istotnie tak było zachowałyby się jakiekolwiek materiały dowodzące żalu i refleksji, które w naturalny sposób mogłyby pojawić się po latach, w trakcie politycznej emerytury. Nic takiego jednak się nie zdarzyło, a Gomułka w oficjalnej korespondencji skierowanej do Komitetu Centralnego w lutym 1971 roku nadal podtrzymywał swoje stanowisko, iż „w obliczu brutalnego gwałcenia porządku publicznego, masakrowania milicjantów, palenia gmachów publicznych itp. należy użyć broni wobec napastników, przy czym strzelać należy w nogi”.

dr Judyta Bielanowska

/ politolożka z Działu Naukowego i Biblioteki ECS, w instytucji pracuje od pięciu lat

Krew, która połała się na ulicach Wybrzeża w grudniu 1970 roku nie przyniosła jakichkolwiek, satysfakcjonujących Polaków zmian. W pierwszej połowie 1971 roku strajki i manifestacje powróciły, a co piątym organizatorem czy przywódcą protestu był członek partii. Co ciekawe, pojawił się wówczas m.in. postulat czterodniowego tygodnia pracy, czyli rozwiązania testowanego dziś w Polsce.

Historia pełna jest mitów. Nie inaczej jest oczywiście w przypadku dziejów naszego kraju. Powszechnie – również wśród historyków – uznaje się, że podwyżki cen, które peerelowskie władze wprowadziły w grudniu 1970 roku, zostały wycofane w wyniku strajków łódzkich włóknien w lutym następnego roku. Czy to prawda, czy też może kolejny mit?

Smutni panowie

Odpowiedź – jak to bywa w historii – nie jest, wbrew pozorom, taka oczywista. Otóż wspomniana podwyżka wywołała w grudniu 1970 roku wiele protestów – strajków i manifestacji, które największy zasięg i najbardziej tragiczne skutki miały na Wybrzeżu. Ich ostatnim akordem był strajk w Stoczni Szczecińskiej, który zakończył się 22 grudnia. Wydawało się zatem, że manewr z wymianą I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) z Władysława Gomułki na Edwarda Gierka, który dokonał się dwa dni wcześniej, uspokoił sytuację w kraju. Jak się jednak okazało nie na długo. W pierwszej połowie 1971 roku protesty, tym razem same strajki, generalnie bez demonstracji ulicznych, wybuchły ponownie i to – o czym kompletnie się dzisiaj nie pamięta – na większą skalę, niż w grudniu 1970 roku. Odbływały się one pod czujnym okiem „smutnych panów”. Dzięki temu dysponujemy bogatą, niezwykle dokładną dokumentacją na ich temat.

Strajk idzie falą

Przyjrzyjmy się jednak na początek ogólnym danym statystycznym Służby Bezpieczeństwa (SB). Otóż, jak z nich wynika, w styczniu 1971 roku do „przerw w pracy” – bo tak strajki określano w esbeckich raportach – miało dojść w 60 zakładach pracy, miesiąc później już w 101, w marcu w 44, w kwietniu w 16, zaś w maju tego roku już tylko w 9. W strajkach, które notowano na terenie niemal całej Polski wzięły udział – wedle szacunków SB – 127 184 osoby spośród 562 158 ogółem w nich zatrudnionych,



POGRUDNIOWA DOGRYWKA



Zdjęcia górne i dolne: Spotkanie Edwarda Gierka z delegatami gdańskich zakładów pracy, 25 stycznia 1971
Fot. Janusz Bałanda Rydzewski / Zbiory ECS

czyli blisko 23 proc. W kolejnych miesiącach zmieniała się geografia „przerw w pracy”. I tak w styczniu 1971 roku najwięcej zakładów stanąć miało w województwach gdańskim (12), bydgoskim (9) oraz szczecińskim (8), w lutym w łodzi (38) i województwach łódzkim (19) oraz stołecznym, warszawskim (10), z kolei w marcu ponownie w województwie łódzkim (7) i samej Łodzi (6), a także w koszalińskim (5). Fala strajkowa wyraźnie opadła w kolejnych miesiącach. W kwietniu 1971 roku protestowało w całym kraju 16 zakładów (z czego niemal co trzeci, w województwie zielonogórskim – łącznie 5), zaś w maju 9 (w tym 3 w poznańskim). Tyle suche statystyki. Przyjrzyjmy się zatem tym protestom bliżej.

Współpraca władzy z narodem

W styczniu 1971 roku – o czym była mowa – najwięcej „przerw w pracy” odnotowano w województwie gdańskim. W pierwszej kolejności pracy odmówiło – 4 stycznia – 15 pracowników Wydziału W 1 Stoczni Gdańskiej, a ich protest trwał półtorej godziny. Dwa dni później pracę przerwało 150 pracowników Stacji Rozjazdów PKP w Zajączkowie Tczewskim, którzy również szybko (po rozmowie z kierownictwem w sprawach płacowych) przystąpili do pracy. 7 stycznia podwyżki płac zażądali zatrudnieni w Spółdzielni „Plastik” w Elblągu. W kolejnych dniach i tygodniach strajkowały następne zakłady pracy. Kumulacja akcji protestacyjnych w województwie miała miejsce 19 stycznia. „Przerwy w pracy” trwały tam do 26 stycznia – tego dnia czynności nie podjęło 1300 pracowników Zarządu Portu Gdynia oraz 33 kierowców Oddziału Samochodowego PKP w Gdyni. Do wygaszenia tej fali strajkowej niewątpliwie przyczyniła się wizyta Gierka z 25 stycznia, który w trakcie spotkania z pracownikami Stoczni Gdańskiej i innych największych strajkujących zakładów pracy Trójmiasta wygłosił pojednawcze przemówienie pełne zapewnień o chęci współpracy władzy z narodem. Do Gdańska przyjechał ze Szczecina, gdzie dzień wcześniej również gasił strajkowy pożar. Notabene w województwie gdańskim, w szczegółowym esbeckim zestawieniu wymieniono, tylko 19 stycznia 1971 roku, 20 strajków, czyli 8 więcej niż we wspomnianym wcześniej ogólnym zestawieniu...

Żądania

Z analizy przyczyn strajków wynika, że – obok grudniowej podwyżki cen na artykuły spożywcze – były to złe warunki pracy, a także niezadowolenie z powodu braku dodatków za pracę w warunkach szkodliwych oraz podziału funduszu płac. Głównymi żądaniami strajkujących stały się z kolei: podwyżki płac, obniżenie wieku emerytalnego, usunięcie ze stanowisk wicepremiera Stanisława Kociołka,

premiera Józefa Cyrankiewicza i sekretarza KC PZPR Mieczysława Moczara, uniezależnienie związków zawodowych od partii, likwidacja biurokracji, ukaranie winnych za kiepski stan gospodarki oraz odpowiedzialnych za „wydarzenia grudniowe”. W lutym 1971 roku Łódź i województwo łódzkie stały się centrum strajków. To, co je wyróżniało to nie tylko ich liczba, ale również frekwencja. Otóż, jak wynika z danych SB – od stycznia do maja 1971 roku, w „przerwach w pracy” w samym mieście miało wziąć udział ponad 47 tys. spośród blisko 104 tys. zatrudnionych, a w województwie ponad 11 tys. z niespełna 33 tys. pracowników ogółem, czyli odpowiednio ponad 45 i 33 proc. Jak się zresztą okazuje, protesty w tym regionie spowodowały wyjątkowo duże straty – jak wynika z esbeckich wyliczeń, w samej tylko Łodzi 98 547 222 złote, a w województwie łódzkim 14 690 681 złotych, podczas gdy w całym kraju miało to być 187 211 873 złote.

Zbiorowe wystąpienia

Dla peerelowskich władz protesty były sygnałem, że strajkowa fala nie chce opaść, wręcz przeciwnie, niebezpiecznie wzrasta. Chcąc temu zapobiec, rządzący zdecydowali się na wycofanie z grudniowych podwyżek, gdyż te były głównym paliwem protestów. Nie przyniosło to jednak, a przynajmniej nie od razu – oczekiwanych efektów. Dobitnie świadczą o tym esbeckie statyki. Otóż, jak z nich wynika, do 26 marca zastrajkować miało 306 zakładów pracy, z czego 136 już po 15 lutego, czyli po decyzji o powrocie od 1 marca 1971 roku do cen sprzed kilku miesięcy, a także po zakończeniu pierwszej fali strajków łódzkich. Dlaczego? Tak to później tłumaczyli sami esbecy: „Na tle rozpowszechnionego w kraju poglądu, że Wybrzeże doprowadziło do zmian politycznych oraz podwyżki płac dla najniższej zarabiającej, a łódzkie strajki spowodowały cofnięcie decyzji podwyżki cen – organizatorzy przerw w pracy uznali, że zbiorowe wystąpienie stanowi najbardziej skuteczną formę wymuszania od władz dalszych ustępstw”. O skali problemu najlepiej świadczy fakt, że to właśnie po kolejnych protestach z drugiej połowy lutego 1971 roku Służba Bezpieczeństwa zdecydowała się na wiele, niekiedy zaskakujących, posunięć organizacyjnych. Tak było w przypadku powrotu do stalinowskiej praktyki działania jej funkcjonariuszy na terenie zakładów pracy, na zdecydowanie jednak mniejszą niż w latach 40. i 50. skalę.

Inspiratorzy

Innym pomysłem władz stało się utworzenie przy Departamencie III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, datowane na 13 marca 1971 roku, Grupy Specjalistycznej, której głównym zadaniem było analizowanie sytuacji i prognozowanie jej rozwoju, a także „zapobieganie napięciom” i „zwalczanie przerw w pracy”. Grupa ta miała działać „na miejscu zdarzenia”, przy współpracy miejscowej administracji, Służby Bezpieczeństwa oraz Milicji Obywatelskiej.

Niestety nie znamy dokładnie efektów działań bezpieki i ich wpływu na „przywrócenie spokoju” w kraju. Można jednak zaryzykować stwierdzenie, że po blisko pół roku wyczerpało się po prostu paliwo do kolejnych strajków. Wiadomo natomiast, że funkcjonariusze SB „ustalili” 782 „inspiratorów” protestów z pierwszego półrocza 1971 roku, wśród których 167, czyli ponad 21 proc. należało do PZPR. Byli to, co nie powinno dziwić, przeważnie młodzi robotnicy o krótkim stażu pracy. Tak na marginesie, w Andrychowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego, w których strajkowano w dniach 11–12 marca 1971 roku, a co trzecim organizatorem protestu był członek partii, pojawił się m.in. postulat czterodniowego tygodnia pracy, czyli rozwiązania testowanego dziś w Polsce. Można jedynie żałować, że strajki z pierwszej połowy tego roku, szczególnie te z okresu marzec – maj, nadal pozostają białą plamą, a przynajmniej słabo opisanym obszarem, w polskiej historii.

Starcia uliczne

Czy to dzielne łódzkie włókienki doprowadziły do odwołania podwyżek cen z grudnia 1970 roku? Należy chyba stwierdzić: nie, ale walczyć się do niego przyczyniły. Można natomiast niewątpliwie mówić o łódzkiej specyfice w pierwszej połowie 1971 roku. Oprócz skali były nią towarzyszące strajkom protesty uliczne. Robotnicy w Łodzi i województwie nie powtórzyli, co prawda, błędów ich kolegów z Wybrzeża z grudnia 1970 roku i nie wyszli na ulicę, choć po nieprawdziwej pogłosce o przygotowaniach władz do wyłączenia ogrzewania w ich mieście przymierzali się do tego, a przynajmniej grozili. Nie znaczy to jednak, że na łódzkich ulicach było spokojnie, w połowie lutego doszło bowiem do starć ulicznych, kiedy grupa (głównie młodych) – według ustaleń SB – licząca od 700 do 1000 osób zgromadziła się przed Zakładami Przemysłu Bawełnianego im. Marchlewskiego, zaczęła zatrzymywać pojazdy i blokować pobliskie ulice. Interweniowała milicja, której funkcjonariusze zatrzymali 30 osób. Innym czynnikiem wyróżniającym protesty łódzkie z 1971 roku był fakt, że to właśnie do tego miasta skierowano delegację partyjno-rządową – m.in. z premierem Piotrem Jaroszewiczem oraz członkami Biura Politycznego i sekretarzami KC PZPR Janem Szydłakiem i Józefem Tejchmą – która w dniach 14 i 15 lutego prowadziła rozmowy ze strajkującymi robotnikami, właśnie w ZPB im. Marchlewskiego oraz ZPB im. Obrońców Pokoju.

Grzegorz Majchrzak

/ historyk, pracownik Biura Badań Historycznych IPN



Historia lubi się powtarzać – dziesięć lat po kryzysie początku lat 70., ulicami wielu miast przeszły tzw. marsze głodowe. Ten na ulicy Piotrowskiej w Łodzi był największy. „Dzieci – przyszłość narodu – umrą z głodu”, „Jak zjeść kartkę nożem i widelcem?” – głosiły hasła, 30 lipca 1981

Fot. Marek Widerkiewicz / Zbiory ECS

WSZYSZY MÓWILI NIE DA RADY

To była wielka sprawa, powstał pierwszy w imperium komunistycznym pomnik ofiar reżimu. A jednocześnie pierwszy, o którego wzniesieniu zdecydowała nie komunistyczna władza, ale samoorganizujące się w opozycji do niej społeczeństwo. Dziś to najważniejsze miejsce pamięci w Gdańsku.

Już pierwszego dnia wielkiego strajku, 14 sierpnia 1980 roku, spod ręki Bogdana Pietruszki, pracownika Biura Projektowo-Konstrukcyjnego Stoczni Gdańskiej im. Lenina, wyszedł pierwszy szkic przyszłego monumentu, wówczas jeszcze z czterema, a nie trzema krzyżami.

Zbiórka na budowę

Brystol z wizerunkiem pomnika, który miał upamiętnić ofiary Grudnia '70, zawieszono na budynku stocznioowego Biura Projektowo-Konstrukcyjnego od strony ul. Jana z Kolna. Ktoś wystawił wielkie słoiki na ogórki i tak rozpoczęła się zbiórka na budowę. Setki fotografii projektu po całej Polsce rozwieźli kolejarze.

Dziesiątego dnia strajku delegaci zrzeszeni w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym jednogłośnie zatwierdzili projekt z terminem odsłonięcia w dziesiątą rocznicę tragedii. A w miejscu, gdzie w grudniu 1970 roku polegli stocznioowcy, postawiono drewniany, sześćo-, siedmiometrowy krzyż wykonany przez stocznioowych cieśli.

Po ratyfikacji Porozumienia Gdańskiego zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stocznioowców 1970 na czele z Henrykiem Lenarciakiem, ówczesnym przewodniczącym rady oddziałowej Związku Zawodowego Metalowców z Wydziału W4 Stoczni Gdańskiej, uczestnikiem rewolty grudniowej.

Ostateczny projekt monumentu oraz całej architektury był dziełem dużego zespołu autorskiego.

Osiem wagonów stali

Już 17 września 1980 roku wbito pierwszy z szesnastu pali fundamentowych pod budowę pomnika. „Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że pomnik musi być widoczny z dworca [...], ze stocznioowymi dźwigami w tle”, czyli musiał wpisać się w szczelinę między Zielniakiem a budynkiem obecnie zajmowanym przez Komisję Krajową NSZZ „Solidarność” – wspomina Grzegorz Boros, architekt, współprojektant monumentu. 1 października wybrano ostateczny projekt pomnika.

Fakt, że w rekordowym tempie trzech miesięcy udało się wykonać monument, należy uznać za cud, możliwy dzięki ponadprzeciętnej mobilizacji i entuzjazmowi pracowników Stoczni Gdańskiej i innych zakładów, nie tylko Wybrzeża. Choć nie obyło się bez problemów, np. dwadzieścia osiem wagonów zamówionej stali na dwa dni zaginęło gdzieś po drodze.

„Ustawiała się kolejka spawaczy kadłubowych do pracy przy krzyżach. Z zewnątrz spawanie przebiegało sprawnie. Ale wewnątrz w krótkim czasie spawacz zaczynał się dusić. Po dziesięciu minutach wyciągaliśmy pracownika linami na powierzchnię. Nie mógł złapać tchu, wymiotował. Tak byli gazami zatruci mimo działania pompy powietrznej” – wspominał Robert Pepliński, artysta rzeźbiarz, który wraz z Elżbietą Szczodrowską jest współautorem płaskorzeźb zdobiących pomnik.

Płaczące wdowy

Płaskorzeźby odlano w stoczniowej giserni, choć nigdy wcześniej nie odlewano tam niczego poza elementami technicznymi. W scenach rodzajowych znajdziemy, m.in. płaczące wdowy, ludzi pod transparentem „Solidarność”, scenę dzielenia się chlebem między robotnikami oraz cytaty z wiersza Czesława Miłosza – „Który skrzywdziłeś”.

Gdy stawiano pierwszy, 42-metrowy krzyż, niemiłosiernie dął wiatr, zacinął śnieg i grad. Przyjechał dźwig. „Wszyscy mówili: »To jest niemożliwe. Nie da rady«. Kiedy stawiono pierwszy krzyż, dźwigowy, po zejściu z maszyny, zemdlął” – wspomina Robert Pepliński. Nawierzchnię placu wokół pomnika wykonano z kostki pochodzącej z ulicy Jana z Kolna, po której w Grudniu '70 jeździły czołgi Ludowego Wojska Polskiego, pacyfikujące strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Kręgi rozchodzące się od pomnika symbolizują promieniowanie idei solidarności.

16 grudnia 1980 roku, w dziesiątą rocznicę stłumienia protestów, dokonano odsłonięcia pomnika w obecności tysięcy ludzi z całego kraju oraz oficjalnych delegacji Solidarności, Kościoła i komunistycznych władz. Uroczystość, wyreżyserowaną przez Andrzeja Wajdę, transmitowała publiczna telewizja, akredytowano

pięciuset dziennikarzy. W całym mieście wyły syreny i brzmiały kościelne dzwony. Specjalnie na tę okazję Krzysztof Penderecki skomponował „Lacrimosę”, a apel poległych odczytał Daniel Olbrychski. Na sąsiadującym z pomnikiem murze umieszczono tablice pamiątkowe, nazwiska poległych oraz słowa Psalmu 29 w tłumaczeniu Czesława Miłosza: „Pan da siłę swojemu ludowi. Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju”.

Katarzyna Żelazek

/ dziennikarka i redaktorka, autorka książek, animatorka kultury, współpracuje z ECS od piętnastu lat

Wykorzystano

/ M. Soska, *Pamięć o ofiarach Grudnia 1970*, Wrocław 2010

/ *Historia jednego pomnika*, katalog wystawy fotograficznej, ECS, Gdańsk 2012

/ *Niepokora. Artyści i naukowcy dla Solidarności 1980–1990*, Gdańsk 2006

/ *Pomnik Poległych Stocznioowców 1970*, Gdańsk 2016



Budowa pomnika Poległych Stocznioowców 1970, mocowanie kotwic na ramionach krzyży, Gdańsk, grudzień 1980

Fot. Stanisław Składanowski / Zbiory ECS

ZAPAL ŚWIATEŁKO

❶ RÓG ULIC NOWE OGRODY I 3 MAJA, OBOK URZĘDU MIEJSKIEGO

15 grudnia 1970 w tym miejscu został zabity

JÓZEF WIDERLIK

lat 24, stolarz okrętowy z Wydziału W5 Stoczni Gdańskiej im. Lenina

❷ UL. HUCISKO, WIADUKT NAD TORAMI KOLEJOWYMI, PO STRONIE SĄDU

15 grudnia 1970 w tym miejscu został zabity

BOGDAN SYPKA

lat 20, student Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie
na Wydziale Zootechniki

❸ UL. GARNCARSKA 29

15 grudnia 1970 w tym miejscu został zabity

KAZIMIERZ ZASTAWNY

lat 24, ślusarz w Fabryce Urządzeń Okrętowych Techmet
w Pruszczu Gdańskim

❹ UL. PODWALE GRODZKIE 4, OBOK HOTELU, PO STRONIE DWORCA PKP

15 grudnia 1970 w tym miejscu został zabity

WALDEMAR REBININ

lat 26, kierowca w Wojewódzkiej Kolumnie Transportu Sanitarnego
w Gdańsku

❺ NIEOPODAŁ POMNIKA KINDERTRANSPORTÓW

15 grudnia 1970 w tym miejscu został zabity

KAZIMIERZ STOJECKI

lat 58, robotnik transportu z Wydziału T2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina

❻ POMIĘDZY BUDYNKAMI DWORCA PKP A ZIELENIAKIEM

15 grudnia 1970 w tym miejscu został zabity

ANDRZEJ PERZYŃSKI

lat 19, malarz konserwator w Stoczni Gdańskiej im. Lenina

❼ OBOK STOCZNIOWEJ BRAMY NR 2

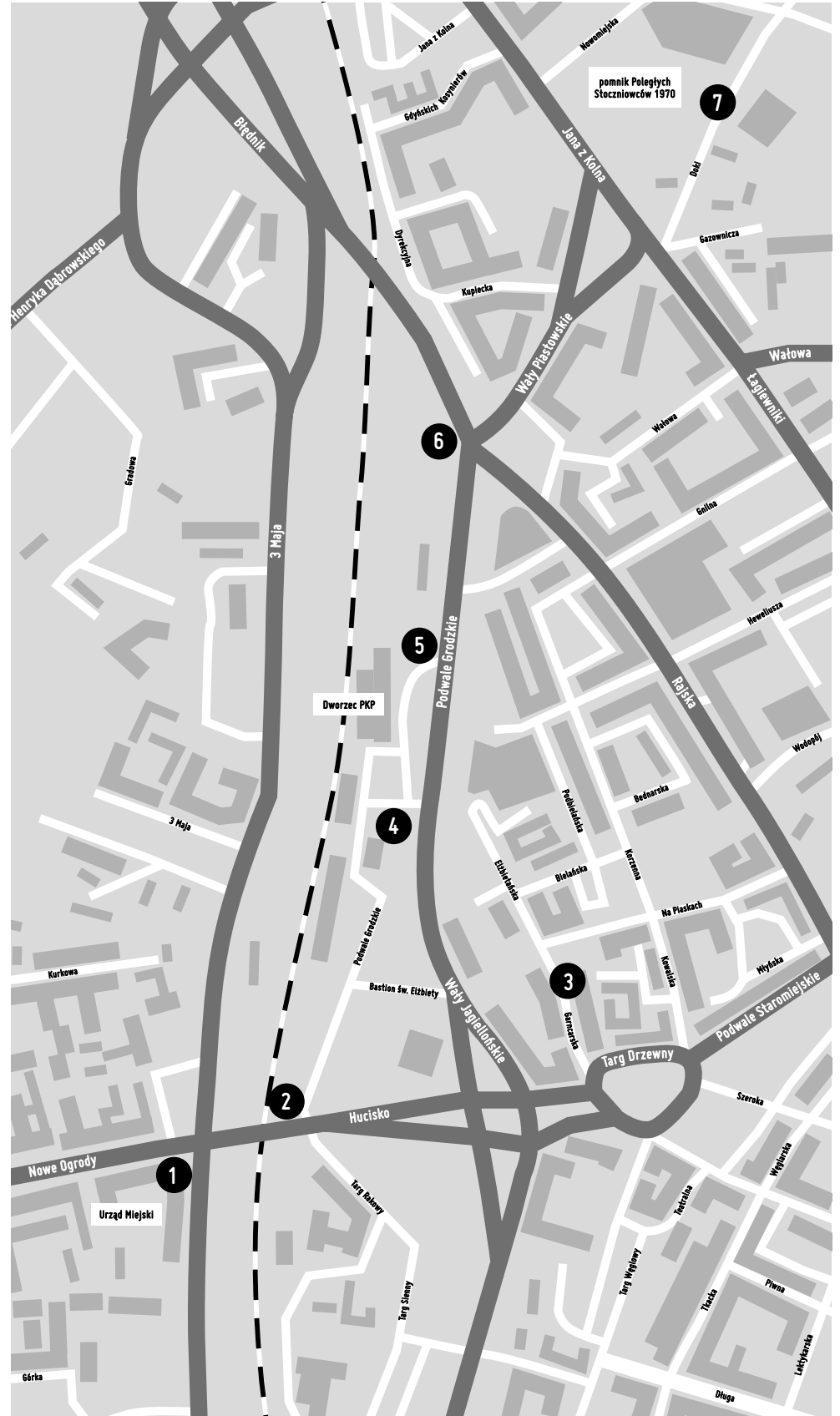
16 grudnia 1970 w tym miejscu zostali zabici

JERZY MATELSKI

lat 27, dźwigowy w Stoczni Gdańskiej im. Lenina

STEFAN MOSIEWICZ

lat 22, malarz z Wydziału W1 Stoczni Gdańskiej im. Lenina



inicjator upamiętnienia | Stowarzyszenie „Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców 1970 w Gdańsku”
partner projektu | miasto Gdańsk
autorka tablic | Lucyna Kujała

Organizatorzy



GDAŃSK



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



Partner



Partner CSR



GDAŃSK PAMIĘTA

WYDAWCA

Europejskie Centrum Solidarności | pl. Solidarności 1 | 80-863 Gdańsk
tel.: 58 772 40 00 | e-mail: ecs@ecs.gda.pl | ecs.gda.pl

zespół realizacyjny | Magdalena Mistat, Przemysław Ruchlewski, Katarzyna Żelazek

korekta | Izabela Zin

wybór zdjęć i edycja | Ewa Konkelt, Iwona Kwiatkowska

projekt graficzny i skład | Emilia Miklikowska

Druk bezpłatny

Gdańsk | grudzień 2025

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby ustalić autorów wszystkich wykorzystanych zdjęć.
Jeśli zidentyfikują Państwo zdjęcie opisane jako „autor nieznan”, prosimy o kontakt z ECS
e-mail: ecs@ecs.gda.pl